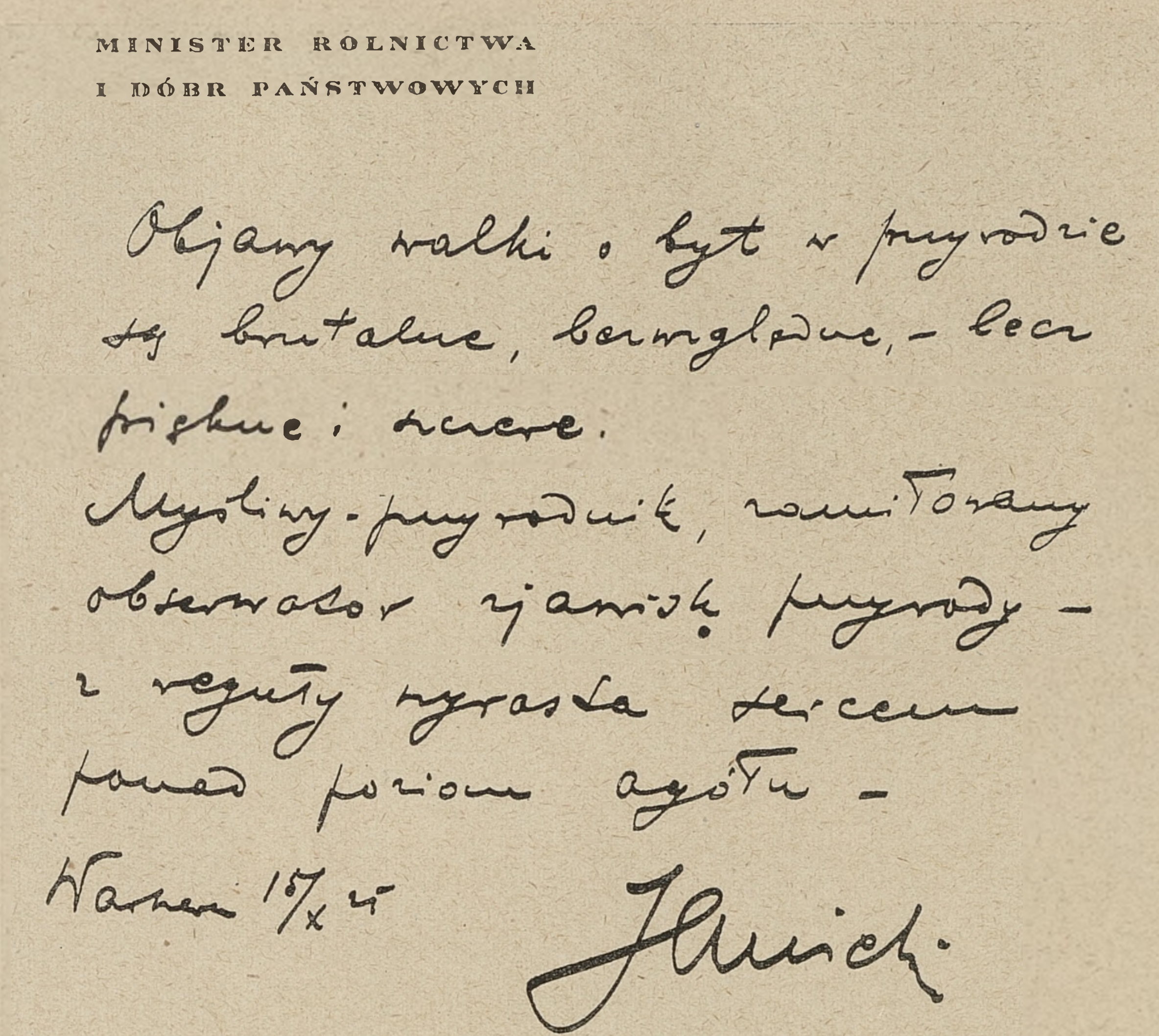


KRÓL PUSZCZY KARPACKIEJ.



MINISTER ROLNICTWA
I DÓBR PAŃSTWOWYCH

Objawy walki o byt w przyrodzie są brutalne, bezwzględne, – lecz piękne i szczere.
Myśliwy-przyrodnik, rozmiłowany obserwator zjawisk przyrody – z reguły wyrasta sercem ponad poziom ogółu –

Warszawa 15/X 25

JJanicki

Aforyzm myśliwski napisany dla „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ przez Pana Ministra Rolnictwa, St. Janickiego.



Trzy niedźwiedzie zabite w jednym dniu prze prez. Świętorzeckiego.



Borsuki ubite przez pp. Świętorzeckich.

Las gadał:

— Szumię, szumię na cześć dzikiego życia, na cześć wolnej wędrówki wiatru, na cześć lęgu i żeru stworzenia żywego w moich gąszczach i cieniach. We mnie jest wieczność zadumy nad sprawami ważnemi, jak wschód i zachód, ciepło i zimno, głód i pożywienie, dobór miłosny par młodych i śmierć słabszych dla odrodzenia się w silniejszych tworach. — We mnie jest chwila, ta drżąca, która obiecuje rozkosz, i ta mocna, która rozkosz sprawia. —

Józef Weyssenhoff

(Soból i panna — rozdz. XV)

Autograf Weyssenhoffa przesłany specjalnie przez znakomitego Pisarza dla „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".



Dziś mija tysiąc i sto lat od chwili, gdy przeniesiono szczątki Naszego Patrona z kościoła św. Lamberta w Leodjum do klasztoru Andoin, położonego w Ardennach. Od czasu owego poczyna się kult św. Huberta wśród rzeszy myśliwych, a chwała Jego rośnie i trwa aż po dzień dzisiejszy.

Z dalekich Ardennów slodka władza Świętego podbija caly świat, imię Jego wymawiają zachwycone usta łowcy o kwietniowym, bladym poranku, gdy głuszec w puszczy odwiecznej pocznie swą mistyczną pieśń i o złotym wieczorze, gdy ciągną długodziobe słonki nad olchowym smugiem, w skwarze letniego dnia, w czarodziejstwie jesiennej kniei i w białym, zimowym ostępie podczas łowów na grubego zwierza... Imię to bowiem jest naszą miłością gorącą, wiarą niezłomną i nadzieją najczarowniejszą; w dniach pomyślności — rozkosznym hasłem; w dniach złych i smutnych — kojącą pociechą!

Niechajże imię to będzie dla naszych Myśliwych nietylko symbolem boskiej opieki, ale i spójnią świętą w imię której połączymy swe wysiłki ku chwale i odrodzeniu łowiectwa zmierzające. Wszyscy!

* * *

Z dniem 1 listopada b. r. obejmuję referat łowiectwa w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych. Obejmuję go z mocnym postanowieniem włożenia wszystkich sił i całej energji celem podźwignięcia naszego myślistwa ze stanu w jakim się ono obecnie znajduje. Ażeby to osiągnąć muszę mieć ofiarne poparcie wszystkich myśliwych w Polsce. Inaczej, mimo najlepszych chęci, niczego nie dokonam. Muszę wiedzieć, że każde zarządzenie łowieckie będzie przez ogół myśliwych, wypełniane. Warunki pracy są niesłychanie trudne. Tysiące przeszkód piętrzą się na drodze rozwoju naszego łowiectwa. Nie mamy nawet łowieckiej ustawy — nie mamy podstaw prawnych na których mógłby się oprzeć przyszły gmach narodowego myślistwa...

Ostateczny projekt ustawy zostanie ogłoszony i poddany przez jakiś czas pod dyskusję publiczną myśliwskiej opinji.

Przeprowadzenie dobrej ustawy łowieckiej przez Sejm będzie pierwszą rzeczą—pierwszym etapem zmierzającym ku lepszej przyszłości. Wszystko pozatem musi chwilowo zejść na drugi plan.

Nie znaczy to, bym od pierwszego dnia objęcia referatu nie zamierzał z największą surowością ścigać wszelkie wykroczenia myśliwskie, popierać usiłowania hodowlane czcigodnych i zasłużonych towarzystw, szerzyć zapomocą pism propagandę ochrony zwierzyny i popierać wszelkiemi środkami uświadomienie pod tym względem ludu.

Działając w porozumieniu przedewszystkiem z Centr. Zw. Polskich Stowarzyszeń Łowieckich oraz w kontakcie stałym z opinją ogółu myśliwskiego nie wątpię, że cele zamierzone osiągnę.

Wzywam więc ogół myśliwych w imię naszego świętego Patrona, by pod Jego zielonym sztandarem stanął każdy, komu drogą jest przyszłość polskiego łowiectwa.

Juljan Ejsmond.





Polowanie z sokołami. Juljusz Kossak.

POLOWANIE Z SOKOŁAMI.

(SONET).

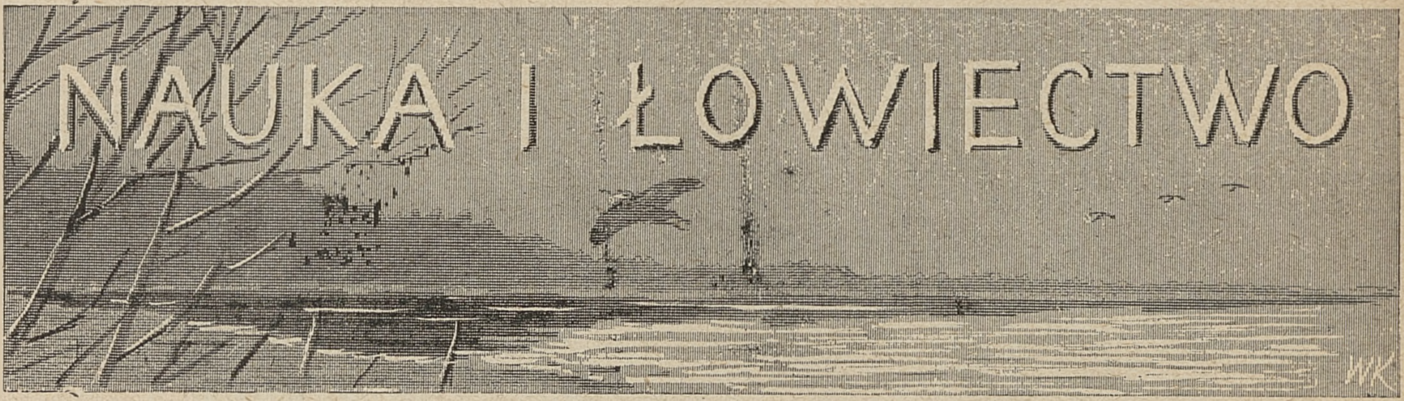
Z kaniowskiego zamczyska zastęp łowców rusza,
mkną po kwiecistym stepie bachmatów sylwety;
dźwięk głośny srebrnych podków pogwar słów zagłusza,
któremi darzą mężczyzn nadobne kobiety.

Prócz koni, psów i ludzi widać szare ptaki
drzemiące na swych berłach pod giermków opieką.
Ci zaś już patrzą w górę, na podniebne szlaki,
czy nie dojrzą ofiary, ciągnącej daleko. —

Naraz świst się rozlega, szept idzie złowrogi,
bo pod oponą chmury biały łabędź leci.
Już szlachetne sokoły uwolniono z sieci
i wskazano przynętę. Widzą ją rarogi
i strzelają niechybnie, jak dwie śmigłe strzały,
trafiając w szyję gędźca u niebios powały...

Władysław Gürtler.





NASZE BŁOTNIAKI.

(*Monografje myśliwskie*).

I

Długie lata przed wojną światową polowałem z niezwykłem zawsze zamiłowaniem na kaczki i wszelkie błotne ptactwo na pięknym, naturalnym stawie w miejscowości Jużyńcach, w powiecie Kocmanieckim na Bukowinie. Był to staw duży, bo około 250 mórg mający, głęboki, zarośnięty po brzegach lasem bujnych trzcin i szuwarów, a ciekawy z tego powodu, że bywał od wczesnej wiosny do późnej jesieni niezmiernie ożywiony. Zdawało się, że wszystkie wodne i błotne ptaki i wszystkie inne zwierzęta przybywały z najdalszych okolic pięknej Bukowiny na ten właśnie staw, aby na nim żyć swobodnie i wesoło. W wodzie było pełno ryb i raków. Gdy co drugi rok staw spuszczano, wyławiano do 250 q karpia i szczupaka... Oczywista, że właściciel stawu sprowadzał wyborowy narybek, ale go nie karmił; karpie żyły własnym przemysłem i wyrastały pięknie, osiągając szybko kupiecką wagę... Były tam i wydry, które pozostawiały na brzegach liczne dowody swojej obecności w postaci szkieletów niedojedzonych karpi i raków. Jedną dużą wydrę ubiłem przed psem w grudniu r. 1910, a widywałem często i płynące stare sztuki w towarzystwie małych, piszczących dzieci. Przybrzeżne trzciny zaludniały całe rzesze śpiewającego ptactwa, a więc szczebiotały wesoło: trzciniak szuwarowy (acrocephalus arundinacca), trzciniak rybarak (nazwa ludowa), (acrocephalus turdoides), największy z trzciniaków i najkrzykliwszy, wywodzący swoje trele nawet w południowej godzinie upalnego dnia lipcowego, gdy inne ptaki wogóle milkną. Wije on kunsztowne gniazda, podobne do małych woreczków i zawiesza je tuż nad wodą na kilku wątłych źdźbłach trzciny. Wreszcie żyje tam świerszczyk trzcinny (locustella luscinioides), ciekawy ptaszek, interesujący się wszystkiem, co się na stawie dzieje, śpiewający bardzo pięknie przez dzień cały, a ukrywający się wstydliwie w najgęstszych sitowiach w niedostępnych miejscach po wielkich stawach. Pod jesień, już w początkach września, zapadały na noc na trzciny nieprzeliczone zastępy pliszek, jaskółek i szpaków. Wszystko to świergotało po swojemu i darło się w niebogłosy, a szczególniej szpaki, które dawały wprost nieporównane koncerty. Powietrze drgało pracą gardzieli ptasząt, powstawała cudna, niczem nie zastąpiona symfonja rozśpiewanej przyrody, wciskając się zgodnością harmonji i potęgą żywiołu, nieprzepartą siłą wszystkiemi zmysłami do wrażliwej duszy myśliwego. A on, zaszyty w sitowiu na swojem czółnie, słuchał godzinami czarownego śpiewu i zapominał o troskach życia, a nawet o życiu samem.... Prując zaś fale cudnej toni o świcie, widział, jak perkozy, nury, łyski i kaczki ranną czyniły tualetę, muskając skrzydła dzióbem, zlewając pierze czystą wodą i trzepocząc się radośnie.

W trzcinach, rosnących wysoko i gęsto na suchem bagnie, przebywały nieraz sarny i zostawiały swoje tropy na wilgotnem błocie; w trawach zaś na brzegach stawu spotkać się można było w październiku, gdy z pól sprzątnięto kukurydzę i ziemniaki, z lisami i zającami. Nieżyjące już dzisiaj moje kochane legawce, jak: Lord i Tref, o których na tem miejscu ze smutkiem wspominam, miały prawdziwą radość i zabawę z zającami, śpiącemi w bagnie tuż nad wodą... Ileż to razy zając, ruszony przez psa, zamiast umknąć na pole, rzucał się do wody i przepływał odnogę stawu. Piesek, zdziwiony takim wybiegiem szaraka, stawał bezradny i skomlał żałośnie. Gdy staw był spuszczony, urządzały sobie lisy polowanie na kaczki. W tym celu kładły się późnym wieczorem w błocie nad wodą i oczekiwały nie-

ruchomo na przybycie kaczek. Gdy która z nich mniej ostrożna podpłynęła na bliską odległość do czającego się rabusia, podnosił się nagle i chwytał tłusty kąsek w swoje ostre szpilki. Najedzony lis zostawał często w trzcinie na dzień, bo mu się nie chciało wracać do odległej nory w polu i wtedy, ruszony przez psa, kończył swój zbójecki żywot celnym strzałem powalony. W trawie przy stawie szukały schronienia nawet bażanty i udawało mi się nieraz ubić kilka pięknych kogutów. Skąd się tam

z nich gnieździły się na miejscu, inne przylatywały z dalekich krain. Polując przez lat dwanaście, zauważyłem i wyróżniłem następujące gatunki kaczek: kaczkę ohar (anas tadorna), kaczkę płaskonos, łyżkówkę (anas dypeata), kaczkę krzyżówkę (anas boschas) lęgową, kaczkę rożeniec, strzałogon (anas acuta), kaczkę szarkę (anas strepera) lęgową, kaczkę świstun (anas penelope), kaczkę cyrankę (anas querquedula) lęgową, kaczkę cyraneczkę (anas crecca) lęgową, kaczkę lodówkę (anas glacialis), wi-



CIĄGNĄCE ŁABĘDZIE

brały, nie mogę sobie do dziś wyjaśnić, bo w okolicy nikt bażantów nie hodował.

Wydajność myśliwską jużynieckiego stawu podnosiła szczególniej ta okoliczność, że tak on, jak i kilka innych w bliskim promieniu się rozlewających, leżą na wielkim szlaku jesiennych przelotów wszelkiego wodnego i błotnego ptactwa. Zalatywały tam kszyki, dubelty i słonki, kulony i bataljony, zapadały na noclegi czaple, gęsi, a niekiedy łabędzie i pelikany. Nad lustrzaną tonią unosiły się różne gatunki mew i jastrzębi. Przedewszystkiem jednak przebywały tam stada różnych odmian kaczek; niektóre

dywaną dopiero w listopadzie, kaczkę zimówkę-gągoł (anas dangula), kaczkę białooką (oedemia fusca), kaczkę ponurkę (anas rafina), kaczkę podgorzałkę (anas nyroca) lęgową i bardzo liczną, i kaczkę czubatą (anas cristata) lęgową... A zatem czternaście gatunków! Późną jesienią zalatywały także różne inne pływaki np. tracze i inne. Czyż nie istne eldorado dla myśliwego i przyrodnika?

Ze wspomnieniem stawu w Jużynkach i cudnych na nim polowań łączy się jeszcze postać mojego stałego towarzysza broni i przyjaciela, aptekarza p. I. Zerygiewicza i wioślarza, dozorcy ryb,

chłopa ruskiego, Danyła Zwarycza. Władał wiosłem i kierował czółnem po mistrzowsku, umiał podjeżdżać bez najmniejszego szmeru do igrających po zarośniętych odnogach stad kaczych, skakał wraz z psem do wody i pomagał mu w szukaniu za postrzałkami, bawił mię w czasie postoju, lub przejazdu z jednej odnogi stawu na drugą swojemi barwnemi opowieściami z życia mieszkańców zapadłej wsi bukowińskiej lub pobudzał do serdecznego śmiechu swojemi dowcipami. — Przeżywał on ze mną każdą myśliwską radość i emocję, dodając łowom swoją szczerą, pierwotną naturą niesłychanego uroku... Byliśmy wszyscy trzej przyjaciółmi i tęskniliśmy za sobą, gdyśmy się tylko dłużej, niż przez dwa tygodnie, nie widzieli. Wszak przeżyliśmy tyle chwil radosnych, tyle triumfów łowieckich w ciągu długich lat dwunastu! Zdarzało się, że niekiedy, zwykle w niedzielę, przyjeżdżali na polowanie różni dygnitarze z powiatu, a nawet z Czerniowiec i żądali od Danyła, aby ich wiózł na kaczki. Mój druh wierny wiosłował z nimi wtedy na środek stawu i kazał strzelać... do perkozów i łysek...., bo kaczek nie było, gdzieś odleciały!.... Pamiętam, że raz przyjechał nad staw autem z Czerniowiec aż sam namiestnik, ale i dla niego kaczek nie było! Nie wzruszały Danyła ani sute napiwki, ani nawet ostry nakaz jego chlebodawcy, polecający jego opiece dostojnych gości. „Niema kaczek i basta!“ tłómaczył się poczciwina. Gdy przyjechałem, opowiadał mi Danyło zaraz o wszystkiem. „Gdzieżbym ja, proszę pana — mówił — pokazywał pacerom, gdzie siedzą kaczki, popłoszyliby je tylko, lub pokaleczyli i nicby nie zabili! Szkoda by było mojej fatygi!“ Nie widzieliśmy się obaj od roku 1917... Dzisiaj nie wiem nawet, czy żyje... Tęsknię jednak za nim i chciałbym się raz jeszcze przed śmiercią z przyjacielem zobaczyć. Mieści się on zawsze w całej swej krasie w cudnych wizjach tego nieporównanego terenu myśliwskiego.

Polowanie na stawie zaczynałem po 15 lipca i polowałem raz w tygodniu, zwykle w sobotę przez całe lato i jesień do czasu, gdy wodę ściął gruby lód zimowy, ubijając w sezonie do 450 sztuk samych kaczek!

Na tych polowaniach poznałem się wszechstronnie także i z błotniakami, których na stawie było dużo. Widywałem nieraz i przedtem różne błotniaki, unoszące się, czy to nad stawami, czy nad polami, ale nie zainteresowany bezpośrednio, nie badałem bliżej ich życia; odnosiłem się zresztą do nich dość obojętnie, przypuszczając, że są to istoty zupełnie niewinne... Wnet jednak nabrałem o nich innego przekonania.

Zdarzało mi się czasem, że po strzale kaczka spadała i że powinna była leżeć na wodzie. Tymczasem mimo skrupulatnego poszukiwania, w którym pies i Danyło pilnie uczestniczyli, kaczki podnieść nie mogłem. Co się z nią stało, dojść do tego na razie nie mogłem. Ponieważ zwierzyny było mnóstwo, dawałem w końcu za wygraną i jechałem dalej w inne odnogi i kamysze z myślą, że po pewnym czasie na dawne miejce wrócę i postrzałkę przecież znajdę. Jakże się temu dziwiłem, gdy wróciwszy później, kaczkę, której odszukać nie mogłem, znachodziłem już zjedzoną; prócz nadartego pierza pływały z niej na wodzie tylko skrzydła i krwawy szkielet.... Począłem więc sprawę badać i stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że sprawcą był błotniak, który w chwili mego strzału unosił się w pewnej odległości niby obojętnie ponad trzciną; on kaczkę zbarczoną znalazł, dobił, oskubał i zjadł. Bywało, że wiele razy zrywał się tuż przed czółnem z upolowanej przez siebie kaczki, unosząc w szponach krwawe jej szczątki. Ucieczka jednak była spóźniona i rabuś przypłacał życiem swoje zuchwalstwo.

W kraju naszym mamy aż cztery gatunki błotniaków. Wszystkie są mniej lub więcej szkodliwe, bo niszczą drobną, łowną zwierzynę, rzucając się na nią z góry, gdy jest albo niewyrośnięta, albo ranna, wszystkie też dlatego zasługują na strzał. Najszkodliwszym jednak jest ten, który unosi się godzinami nad szumiącą trzciną, ten który mi zjadał postrzałki, ten którego lud fałszywie kanią nazywa, a który jest właśnie błotniakiem stawowym.

Wł. Gürtler.

(D. c. n.).





Z DZIEJÓW ŁOWIECTWA.

Sposoby łowienia zwierząt w XVIII wieku.

Nawet dla uprawiania „miernego" myślistwa należało szlachcie rozporządzać pokaźnemi środkami, dającemi możność utrzymywania 8 koni, 10—12 ludzi, „chartów smycz pięć, ogarów sfor piętnaście", jak mówi Ostroróg—to też prócz rusznicy, berdebuski [1]) z których kulą i „glotem" [2]) ogrody, cewy [3]), żelaza i inne przyrządy do łowienia zwierza.

Dziś, zaledwie magnacka fortuna pozwala na sznur z chorągiewkami, tak potrzebny przy polowaniach na wilki i lisy, cóż dopiero mówić o stokroć kosztowniejszych sieciach i płótnach, któremi otaczano znaczne wówczas przestrzenie.

Wreszcie pojęcia dzisiejszej etyki łowieckiej nie pozwalałyby na „pobicie pałkami" złapanej zwierzyny, co było na porządku dziennym w wieku XVIII, a zdarza się i naganiaczom doby obecnej, wielce zdumionym, że pan nadleśny krzyczy, jak się kijem koziełka biegącego" po grzbiecie uderzy", i że ten pan wcale nie objawia wielkiej radości, gdy zręcznemu chłopu uda się „bez fuzji" zabić rogacza pędzącego na oślep przed naganką.

Najkosztowniejszemi z przyrządów były t. zw. poły. Tych rozróżniano trzy gatunki: pierwsze sięgały wysokością 5 łokci, a każda sztuka takiej poły dochodziła do 200 łokci długości,—inne zwane duńskiemi, a tych były dwa rodzaje, różniły się tylko wysokością; wyższe z nich liczyły 4 łokcie, niższe 3 łokcie — pozatem długość była ta sama — 200 łokci.

Pospolitszemi jednak były sieci, które odpowiednio do swego przeznaczenia były wiązane, a więc na grubszego zwierza — grubsze, na drobniejszego — cieńsze.

Aby Szanowny Czytelnik miał dokładniejsze wyobrażenie rozmiarów i ciężaru owych sieci przytoczę niektóre dane.

Sieci na jelenie miały 200 łokci długości i pięć łokci wysokości tak samo, jak poły pierwszego rodzaju, każde oko w sieci miało 8 cali, a zatem na wysokość trzeba było 20—24 ok.

Liny obwodowe u wierzchu i spodu musiały być z dwudziestu sznurków skręcane i sięgały grubości trzech i pięciu cali.

Dziki wymagały najsolidniejszego umocowania sieci do drzew, „aże częstokroć cała gromada świń wpada" obliczano wysokość najmniej na 30 ok mocno wiązanych, a każde oko szerokości 6 cali.

Najlżejszemi były sieci t. zw. Wildgarn, których używano na jelenie, dziki i sarny — zamiast powyższych, kosztowniejszych.

Rozróżniano cięższe i lżejsze,

Pierwsze długości 100 kroków, sznurki w „dziewięcioro" skręcane — oka w kwadrat po 6 cali mające, a wysokość takiej sieci 18 ok.

Liny obwodowe też z dwudziestu sznurków skręcane. Sieć taka ważyła $3\frac{1}{2}$ centnara.

Lżejsze Wildgarny, których wysokość obliczano na 16 ok były już plecione z cieńszych sznurków i te ważyły $1\frac{1}{2}$ centnara.

Gdy chodziło o specjalną jakąś zwierzynę, posługiwano się sieciami ad hoc przygotowanemi.

Na wilki robiono sieć długą na 80 kroków oka po 15 cali szerokie, a wysokość 20 ok.

Sznurki, grubości gęsiego pióra, liny obwodowe—grubości wielkiego palca.

Na sarny: 100 kroków długie, oko 3-calowe, aby, przy sposobności, ani lis, ani zając przecisnąć się nie mógł — wysokość 20 ok.

Na zające sieci były najmniejsze, a prócz myśliwskich rozróżniano w nich i „gospodarskie" — malowane na zielono, mniejsze, do których często

[1]) Berdebusko — rodzaj broni palnej z XVII w.

[2]) Glot — siekańce, śrut.

[3]) Cewy — rodzaj petlicy — sidła.

przywiązywano dzwoneczki, aby słyszeć, gdy w nocy zając w nie wpadnie.

Borsuki łapano nieco odmiennym sposobem, który praktykuje się i po dzień dzisiejszy, a polegającym na korzystaniu ze zwyczajów zwierza, kryjącego się pod ziemię.

Sporządzano sieci na kształt zaostrzonej matni z okami, jak w sieciach zajęczych.

Wierzch osadzano w ten sposób, aby się mógł zsunąć i zamknąć, gdy zwierz pocznie się rzucać.

Tak przygotowane sieci stawiano w otworze jamy przez którą borsuk najchętniej wchodzi, zatykając szczelnie uprzednio inne wejścia.

Oczywiście zastawianie tych sieci odbywało się nocą, gdy jaźwiec na żer wychodzi. Korzystając z nieobecności jego w „chacie“ wpuszczano siatkę wewnątrz otworu wejściowego i sforą młodych psów zapędzano w nią borsuka, żerującego zwykle w pobliżu swojego mieszkania.

Bobry i wydry wymagały sieci podobnych do niewodu, w którym długość skrzydeł zależna była od szerokości rzeki, — do skrzydeł tych przymocowywano ciężarki i spławy, a na końcu matni wiązano ogon bardzo gęsty i wąski, aby się nic w nim obrócić nie mogło. Ogon ten sięgał 4 łokci długości. Matnia, przed samym ogonem zbierała się na linę długą, aby ją w każdej chwili ściągnąć było można i tym sposobem zamknąć zwierzowi odwrót. Do końca ogona przywiązywano również linę, gdyż w razie polowu należało szybko wyciągnąć złapaną sztukę, chcąc się ustrzec przed pogryzieniem, lub przerwaniem sieci przez uwięzionego bobra lub wydrę.

Stąd wypływa, że zarówno linę zaciągającą matni, jak i ogona, dla czucia, trzymano zwykle w rękach.

Kuny i tchórze chwytano w gęste siateczki, któremi obstawiano upatrzone zwierzę.

Rzecz prosta, że łowienie w sieci dostępne tylko dla szlachty i panów nie miało zastosowania w całej swej rozciągłości. Nie wszyscy nawet z tej kasty mogli sobie pozwolić na ten rodzaj łowów, a zdarzało się, że zapalony myśliwy-łowca, dla zadośćuczynienia swym namiętnościom — niejednokrotnie ubożał, — pozbywał się kosztownych aparatów łowieckich pod przymusem, a nie mogąc się pozbyć tej „żyłki“ wynajdywał inne sposoby, łatwiejsze, dostępniejsze, boć bieda jest matką wynalazku.

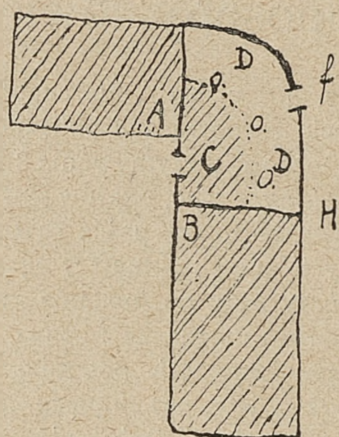
Zresztą poniższe sposoby dotyczyły tylko drapieżników, chociaż prawo polowania w jednej było ręce, obyczaj pozwalał na łowienie drapieżników wszystkim i wszędzie — wzorując się na „cudzych krajach“, gdzie za zabicie wilka dawano nagrody.

Na każdym kroku kopano doły, które przecież zagrażały ludziom i bydłu domowemu, a częściej wydobywano stamtąd krowę, cielę własne, niż oczekiwanego wilka.

Zdarzało się nawet, że wpadali w te doły i ludzie częstokroć mocno się kalecząc, co sprowadzało zastanowienie i zaniechanie robienia tych pułapek w miejscach przygodnych.

Poczęto korzystać z częstych wizyt wilków i lisów w zabudowaniach gospodarskich, i przy nich budowano doły o których chcę mówić. W tym celu korzystano z odpowiedniego planu, rozkładu zabudowań i najczęściej zakładano doły takie w miejscu, gdzie stały narożne budynki, stykając się ze sobą węgłami.

Dla interesujących się bliżej — podaję szczegółowy opis takiego dołu.



Rys 1.

Dwa budynki A i B (rysynek 1), stojące w pobliżu siebie pod kątem prostym, grodzono od strony podwórza szczelnie w ten sposób, aby wpuszczać do zagrody C można było przez furtkę E żywą przynętę: owce, świnie, cielęta, kozy lub gęsi. Ścianę C dawano z mocnych, wysokich, dębowych sztachet przezroczystych, aby inwentarz nie powpadał przypadkiem w dół. Na całym polu D kopie się jamę 5—6 łokci głęboką i cembruje balami stawianemi w górę, aby schwytany zwierz po podłużnych nie mógł się wydostać. Dół ten G F H otacza się ścianą z chrostu plecioną, a całość wraz z zagrodą dla trzody pokrywa się jednostajnym dachem. Dół taki nakrywa się cienkiemi rózgami, prusząc po wierzchu słomą wraz z mierzwą, aby uchronić przed wzrokiem wilka zdradliwą jamę. W ścianie okalającej robi się drzwiczki f, ale nie przy samej ziemi, lecz na wysokości półtora łokcia i pozostawia się roztwarte do połowy, jakby przez zapomnienie niedomknięte. Następnie witerunkiem i powłoką wleczoną przez bory i lasy nęcono drapieżniki, aż do samej furtki f.

Wilk, lub lis zobaczywszy smaczne gęsi, a nie mogąc zbliżyć się powoli, gdyż wysokość progu zmusza go do skoku,—skacze i wpada w dół skąd

chyba cudem ocaleć może. Na przynętę używano najczęściej odporne na mróz owce i gęsi, które spłoszone i wystraszone skokiem i upadkiem chciwego rabusia podnosiły taki hałas, że gdy wilków było kilka, wszystkie po kolei wpadały w zasadzkę, sądząc, że poprzednik popłoch taki sprawia w ptasiej rzeszy, gospodarząc po swojemu.

Prócz dołów istniały jeszcze ogrody, jedne wymagające dozoru ludzkiego, inne, których pilnować nie potrzeba.

Ludzie opuszczający, za pomocą lin, zasuwy ukryci byli zwykle na drzewach, lub w ad hoc postawionej budzie. Inne ogrody, przy których pomoc ludzka była zbyteczna, budowano w sposób następujący.

Odpowiednie i okrągłe miejsce w lesie o średnicy 12—15 sążni grodzono sztachetami, lub chróstem tak gęsto, aby się nawet lis przecisnąć nie mógł. Cały ten krąg otaczano mocnym płotem w odległości jednego łokcia od pierwszego i przetykano chróstem w ten sposób, aby długie i zaostrzone końce skierowane były od wejścia i wszystkie w jedną stronę. W kilku miejscach płotu daje się furtki w ten sposób budowane, aby łatwo się otwierały tylko w jednym kierunku, — do wnętrza owego korytarza. Furtki takie łączone po dwie (Rys. 2) a) c) w ten sposób były urządzone, że gdy jedna się otwiera — druga tymczasem zamyka. Pozwalało to na jednoczesne schwytanie kilku sztuk, gdy bowiem wilk wszedł przez a), zamykała się furtka c) zabezpieczając korytarz w którym ze



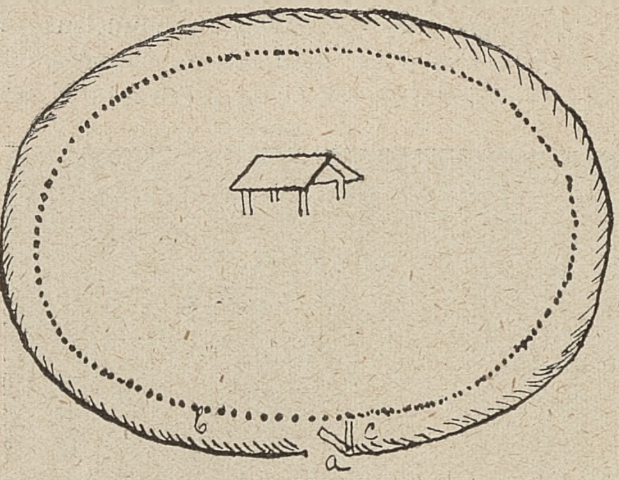
JUŻ „SEZON".

Gdzie wilków było dużo grodzono w lesie, w miejscach gdzie stale przebywały obszerne zagrody ze sztachet, tak wysokie i szczelne, aby wilk przecisnąć się i przeskoczyć nie mógł, poczem budowano furtki w postaci zasuw z góry. Już od lata przyzwyczajano wilki, ciągnąc im padlinę przez owe furtki i kładąc ją pośrodku zagrodzenia.

W zimie, gdy głód najbardziej dawał się odczuwać gromadnie żyjącym wilkom, powtarzano letnie próby z tą różnicą, że furtki zasuwano raptownie, gdy kilka sztuk ucztowało wewnątrz ogrodu.

względu na rozmiary i kolące chrósty poprzednik, ani wrócić, ani się obrócić nie mógł.

Wewnątrz zagrody, w przyzwoitej odległości od płotu, budowano bróg pod którym w słotę i zimno kryły się owce służące za przynętę. Do takich ogrodów wystarczyło zajrzeć raz w przeciągu



Rys. 2.

doby, aby sprawdzić, czy niema zdobyczy i czy nie należy zmienić marznących zbytnio owiec na inne wypoczęte w ciepłej, względnie, owczarni.

Dla dzików podobne były ogrody z tą jednak różnicą, że dziki schodziły do środka po pewnej pochyłości utworzonej z gładkich bali, wyjść więc ślizgając się w górę już nie mogły, tembardziej że bale leżały na rowie i często, gdy ciężki odyniec chciał się wydostać ześlizgiwał się wprost do rowu, gdzie rano, bądź go kłóto, bądź szczwano psami, bądź też dobijano z „flinty". Na zachętę rzucano żołędzie, bukowe orzeszki, w samym ogrodzeniu zaś puszczano kilka sztuk trzody chlewnej i rozsypywano słód, groch, a nawet owoce.

Niedźwiedzie łowiono również w podobne doły i ogrody mocniej i gruntowniej budowane, aby wytrzymały krzepkiego więźnia.

Chwytanie w cewy i żelaza wymagało dokładnego odwietrzania śladów ludzkich stóp i rąk, oraz umiejętnego sporządzania obwłoki. Myśliwi znali wiele sposobów, ale stanowiły one przeważnie tajemnicę, stąd też mało tych sekretów dostało się do prac pisanych.

Buchting w dziele swoim zaleca następujący przysmak za którym, jakoby, chciwie zwierz tropił i szedł w pułapki. Gęsi lub świński szmalec topić z kamforą, fiołkowym korzeniem i... zwykłą cebulą. Recepta, jak widać wcale nie skomplikowana, podejrzewam, raczej na wyciągu z przepisów przez autora oparta, lub, na odczepnego, przez któregoś z myśliwych uczonemu podana.

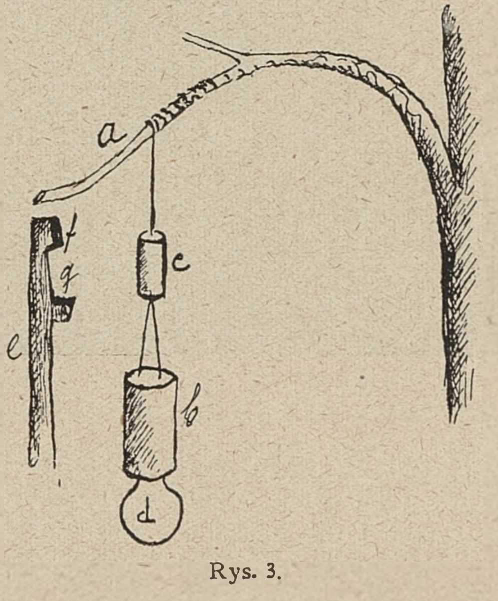
„Tym się przysmaki zwierząt wiecznie być mające, i żelaza do zastawiania nacierają".

Lis i wilk szedł za przypieczoną koniną lub wołowiną, pierwszy z nich chętniej jednak dochodził za przypieczonym śledziem, lub wabiony nocnem pianiem koguta. Wilk wabił się na głos prosięcia; niedźwiedzie i dawniej łakome były — na miód; jelenie ściągały z sąsiedztwa do miejsc, gdzie kładziono bryły soli; kuny i tchórze osobliwy miały przysmak w postaci starego, zepsutego, kurzego lub kaczego jaja.

Takiemi sposobami zwabione na pewne miejsca zwierzęta, chwytano w zręcznie zastawione pułapki, cewy, ukryte żelaza, lub bito z umyślnie „wyrychtowanych" samostrzałów. Zwykłe zasadzki i wyczekiwanie na przychodzącą zwierzynę też były praktykowane. Grubsze okazy strzelano wtedy kulami, drobną zwierzynę — siekańcami lub śrutem.

Stępice, albo żelaza nie były oczywiście tak skomplikowane i doskonałe, jak współczesne, weberowskie, zasada jednak była ta sama i od wielkości upatrzonego zwierza zależała moc i rozmiary stawianego przyrządu. Ze względu na analogję z dzisiejszym wnykiem zasługuje na uwagę t. zw. cewa. (Rys. 3).

Na upatrzonem miejscu zwykłego przechodu zwierza, obiera się w pobliżu sprężynowatą gałąź (a) do niej przywiązuje się sznurek przewleczony podwójnie przez właściwą cewę (b) tak, aby u dołu sznurek tworzył pętlicę. W pewnej wysokości od cewy wiąże się nieruchomo „ławkę" (c) t. j. takiż sam balik, jednak nieruchomy. Przy samej ścieżce wbija się palik (e) tak głęboko, aby go gałąź (a)



Rys. 3.

wyciągnąć nie mogła. W zagłębieniach (f g) słupek (c) osadza się w ten sposób, aby gałąź (a) była nachylona, a pętlica wypadała na wysokości łba zwierzęcia przechodzącego.

Gdy tylko zwierz łeb w oko-pętlicę włoży, wyrzuci z obsady balik (c), a elastyczna i silna ga-

łaź, prostując się, zaciągnie śmiertelną pętlicę i podniesie w górę nieszczęśliwca. Odwietrzoną starannie cewę stawiano w ten sposób, aby obok przejście było niemożliwe, a zwierz niechybnie szedł zdradziecką ścieżką.

Prócz tych wszystkich przyrządów posiłkowano się jeszcze samostrzałami, które stanowiły zwykłe rusznice, flinty umocowane twardo do jakiegoś słupka lub drzewa i skierowane „w pół zwierza“ w stronę, gdzie kładziono przynętę. Po ziemi, dobrze ukryty, ciągnął się sznurek przywiązany do cynglów (lepiej do dwuch odrazu).

Gdy zwierz trącił sznur, flinta paliła odrazu z obu luf, ale tego rodzaju przyrząd w XVIII stuleciu zakładano już tylko na noc, i to rzadko, w obawie, aby przypadkiem rano miast odyńca nie zastać nieboszczyka sąsiada, kmiotka, lub własnego sługę.

Oto, jakiemi sposobami babki nasze i nie nasze zaopatrywały obfite śpiżarnie i posiadały niejednokrotnie więcej futer niż dzisiejszy mniej zamożny skład.

Jerzy Dylewski.

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ.

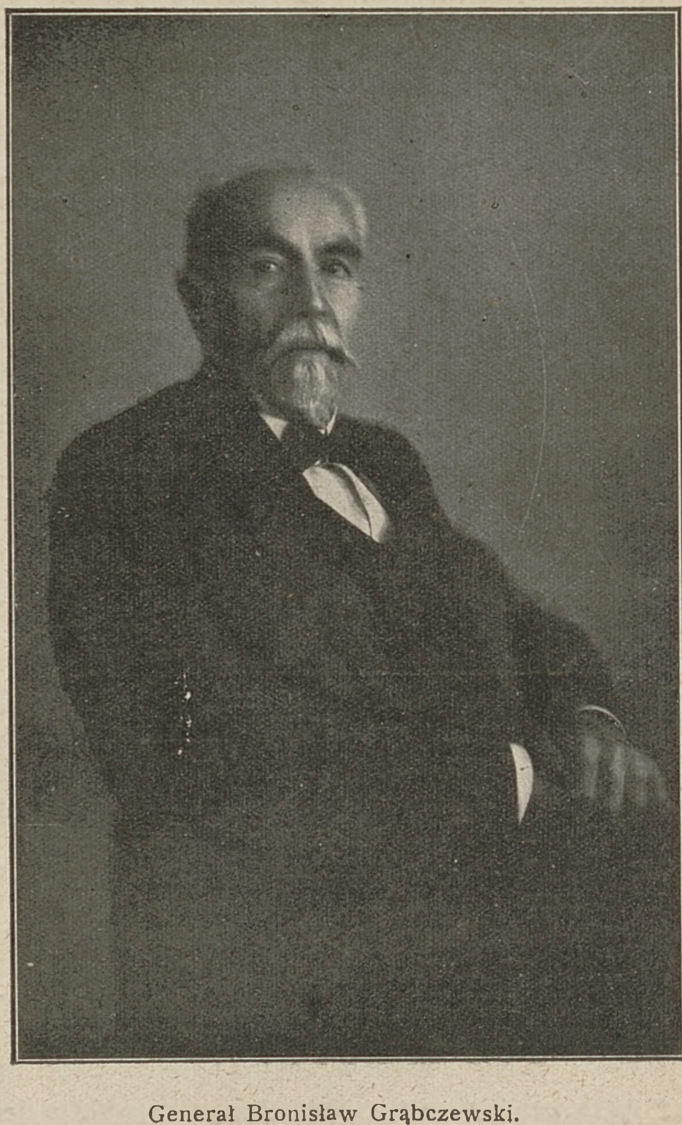
„W pustyniach Raskemu i Tybetu“.

GEN. BRON. GRĄBCZEWSKI.

Każde nowe dzieło gen. Bronisława Grąbczewskiego jest wydarzeniem w literaturze. Są to bowiem szacowne klejnoty piśmiennictwa podróżniczego i myśliwskiego, pisane mową tak piękną, zwartą, prostą i jędrną, iż mają w sobie coś z prostoty i z piękna Homera.

Ostatnio ukazał się tom trzeci „Podróży“ p. t. „W pustyniach Raskemu i Tybetu“. Ażeby wszystkie miejsca tej czarującej książki przytoczyć — trzebaby ją wprost przedrukować. Dlatego ograniczę się jedynie do krótkiego omówienia tego dzieła z punktu widzenia myśliwskiego.

„Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie“ miało możność zaznajomić już swoich czytelników z paru fragmentami łowieckiemi nowej podróży gen. Grąbczewskiego. Lecz myśliwy znajdzie wielkie rzostanu Karateginu (świstaki, kuropatwy skalne, bogactwo łowieckich przeżyć i wiadomości w każdym niemal rozdziale. Spotykamy więc opis zwielisy) i Darwazu (dzikie kozy). Spotykamy dalej opis polowań pamirskich na dzikie barany Ovis Poli (Ovis Carelini w górach Zaałajskich), na niedźwiedzie (trzy gatunki: Ursus isabellinus Horsfield — ogromny niedźwiedź z gór Himalajskich, — żyjący w górach Tiań-Szań, skąd przedostał się na Pamiry oraz w góry kaszgarskie, wreszcie najmniejszy z nich niedźwiedź tybetański). Gen. Grąbczewski spotykał na Pamirach dwa gatunki lisów (Canis vulpes i Canis melanotus), wilki (Canis lupus), zające małe i niesłychanie liczne (Lepus Lachmani Sw.) oraz olbrzymią ilość świstaków. Nadzwyczajnie ciekawe są opisy walki świstaków z psami i pamirskiemi orłami-brodaczami. Na ska-



Generał Bronisław Grąbczewski.

listych wyżynach żyją kozy, a w bliskości pastwisk baranich wspaniały irbis (Felis uncia). Interesujące jest zabicie przez znakomitego podróżnika jeżozwierza na wysokości 3567 m. n. p. m. Z drapieżnych ptaków, prócz wspomnianych orłów-brodaczy, gen. Grąbczewski spotykał sępy (Neophron), sowy karliczki (Strix passerina),pustułki. Z ptactwa łownego: czerwone kaczki pamirskie, kuropatwy górskie (Caccabis Chuckar) oraz kuropatwy himalajskie (Megaloperdix Himalayensis), których jeden rodzaj nazwano od ich odkrywcy Tetraogallus Himalayensis Grombczewscii.

W dalszych rozdziałach spotykamy opis hodowli baranów i jaków. Te ostatnie mnożą się znakomicie, nie dorównywają jednak co do wielkości, ani też co do siły dzikim jakom, które przebywają obecnie jedynie większemi stadami w pustyniach Tybetu i Raskemu.

Rozdział IX mówi nam między innemi o spotkaniu z niedźwiedziem nad przepaścią na wąskiej ścieżce, wydeptanej przez dzikie zwierzęta, zaś Rozdział X o polowaniu na panterę. I niedźwiedź i pantera przypłaciły śmiercią spotkanie.

Nad rzeką Uprang (Saltor) gen. Grąbczewski polował na dzikie osły, dzikie barany (papaje, nahury himalajskie) oraz na irbisa.

Naukowe wyniki ekspedycji gen. Grąbczewskiego są bardzo doniosłe. Zrobiono 7200 km. zdjęć topograficznych, z nich na przestrzeni 5000 km. na przestrzeni nietkniętej dotąd stopą Europejczyka. Zdjęcia te oparte były na 73 punktach astronomicznych. Przy pomocy barometru, aneroidu i hipsotermometru określono wysokość 350 punktów nad poziomem morza. Przyniesiono pozatem bogaty materjał etnograficzny, geograficzny, zbiory zoologiczne, oologiczne, botaniczne, entomologiczne (36.000 chrząszczy) i geologiczne, czterotomowy dziennik oraz wzory pokładów nefrytu.

„Pomimo okropnych często warunków podróży“, pisze w zakończeniu swej epopei gen. Grąbczewski, „udało mi się wszystkich towarzyszy doprowadzić do domu nietylko żywych, lecz i w dobrem zdrowiu. Cierpieliśmy wspólnie i dlatego cierpienia znosiło się raźniej“.

Na stronie 133 opisuje gen. Grąbczewski spotkanie z dzikiemi osłami. Czytając ten świetny opis myśliwski i — czytając jedną ze wzmianek o pomnikowym dziele autora, przychodzi smutna refleksja: Czy warto docierać aż do pustyń Raskemu i Pamirów — by spotkać osły? Czy nie wystarczy sięgnąć po nie do bliższego pastwiska — do niektórych pism?

J. E.

Na stawach Wołynia.

Wspomnieniem czarownem zamarłej, lecz zawsze żywej przeszłości spotkał mię Wołyń stary. Zaproszony przez mego ukochanego brata, hr. Leona Rzewuskiego oraz jego uroczą małżonkę do ich szmatu ziemi, pozostałego na szczęście w granicach naszej umiłowanej Polski, w majątku Borsuk w powiecie Krzemienieckim, spędziłem rozkosznie kilka dni. Stanowiło to oazę śród beznadziejnych piasków szarzyzny powszedniej. Na terenach brata mego położone są bodaj że największe sztuczne zbiorniki wód, wytworzone przez Horyń. Borsukowiecki staw ma bowiem do 700 hektarów — Peredmirecki do trzechset! Szczególnie ten ostatni, którego większa część zarosła trzciną, sitowiem i „oczeretami“ — w jeziorkach, po miejscowemu „helawach“ — pełnych smakołyków przeróżnych dla sławetnego rodu „Anas boschas“ — oraz ich kuzynów odmian pokrewnych, stanowi prawdziwe kacze Eldorado! Za czasów Walk Narodów, oraz bolszewickiej zawieruchy ten wodny zwierzostan ucierpiał też niemało, jak i wszelki inny w kraju. Parę lat temu, będąc u brata, ze smutkiem stwierdziłem fatalne skutki tych okoliczności, jakoteż rozpoczynania polowań na ptactwo wodne i błotne według terminów „Zakona tretioho fewralja 1893 goda“. Rosyjski ten elukubrat — już sam przez się zawczesny — zastosowany do nowego stylu— jest poprostu horrendalnym absurdem. Piękna rzecz polować na błotach od 15 czerwca azjatyckiego stylu, kiedy to kaczęta do żółtych kanarków w większości są podobne! — wiele matek jeszcze jaja wysiaduje! Niestety! pewna ilość naszych „Sonntags-jägerów“ z administracji miejscowej, żadnych skrupułów sobie pod tym względem nie czyni. Bez pardonu walono do niewiniątek-klapaczy! — odstrzeliwano matki z gniazd! Poczciwe Almy, Nera i inne tresory zaś, do szczętu niszczyły kaczęta-kanarki, dusząc i łapiąc nielotne bekasiki z niemniejszą sprawnością.

Będąc latem 23 roku na Peredmireckiem stawie, tam, gdzie ongiś chmary kaczek, jak rój koma-

rów, oko myśliwskie tak rzetelnie „konsolowały“, zaledwie sztuk kilka do reszty na śmierć zahukanych osobników widziałem. Padło zaś z mej ręki na obydwu stawach 4 sztuki (literalnie cztery) w przeciągu kilkudniowych łowów. Oczywiście, w okresie późnojesiennych przelotów, musiało i na ten czas być ich „multum“, lecz gruntownie „zdegustowany“, nie zaglądałem tam więcej. Kontyngens tranzytowy, przelotny, nie stanowi zresztą bynajmniej zasługi właściciela terenów, lecz jest tylko darem Matki Natury. Miarodajnym czynnikiem racjonalnej ochrony są rozkłady sierpniowo-wrześniowe, to jest rozkłady lęgowego błotnego zwierzostanu. Lecz, dzięki Bogu, brat mój z cechującą go we wszystkiem energją i wytrwałością, od tego czasu kategorycznie odmawiał pozwoleń wszelkich polowań, chociażby największym „matadorom“ dygnitarstwa miejscowego, uprzejmie zresztą proponując przy każdym zwróceniu się do niego w tej materji „a może byśmy razem zapolowali? bardzo proszę Szanownego Pana! miło nadzwyczaj mi będzie!“ „Tableau!“ — długa mina i jakoś rzadki bardzo gość towarzysz! Rezultaty owych mądrych zarządzeń miałem możność w roku bieżącym w pełnej mierze ocenić!.... Znowu chmury krzyżówek, znowu roje cyranek, miłych podgorzałeczek, skromnych szarek, oraz falangi czarnych łysek (fulica atra)! Wszystko tak, jak było — nawet się ku starości bynajmniej nie pochyliło! Jeździłem z bratem kochanym, jeździłem z młodym, poczynającym strzelcem, pełnym świętego ognia, p. Wacławem Krasińskim, z którego niezawodnie wytworzy się dobry myśliwiec ku pociesze św. Huberta. W tem odrębnem świecie wód szerokich na kilometrach moczarów „spławów“, sitowiem „osoką“ zarosłych, w towarzystwie mistrzów kunsztu orjentacji w hieroglificznym zaiste labiryncie zatok, cieśnin, tajemniczych kanałów, jakiemi niezawodnie są starzy rybacy Fedor Horoszko i Nikon Fara, prześniłem rozkosznie nie jedną zorzę ranną i wieczorną, nie jeden dzień skwaru pod prażącem słońcem sierpnia. Huk zwierzyny obecnością swą na każdym kroku serce i duszę łowiecką radował „srodze“.



Dzikie kaczki na krośniewickim stawie.

Miły mój Boże! — w bajecznym spokoju tych zaciszy świętych gdzie bąk samotny i ostrożna wielce czapla przebywa, bystrolotny bekas na korzenie lilij wodnych zapada, gdzie raczą się bez liku z oczeretów wypasione na tłustem chlebie wołyńskiem odmiany wszelkie kaczek przeróżnych, kulik wielkie (numenius arquatus). Rozbrzmiewa mew żałobny głos, jakgdyby płacz matki nad syna mogiłą, według tak trafnego określenia rosyjskiego poety Niekrasowa, a srebrne ich skrzydła, podobne do mar czarownych wzrok pieszczą, podczas gdy w toniach głębokich rabuś szczupak na zdobycz czyha obok złotołuskich karpi, słodkich karasi, smacznych linów. Rybki figlarne za robaczkami

zwinnie gonią, rojowisko całe żuczków, owadów, muszek, libelli o modrych, tęczą lśniących zabarwieniach, jak elfów rój, gra w blaskach dnia. Mimowoli nasuwają się smutne myśli... Wizje dręczące... Oto po za kordonem politycznym, o kilka kilometrów, cicho drzemią też w świetlanych przestrzeniach, stawy podobne! Tam zaś na Ukrainie, śród „Dzikich Pól" praojców, zapewne i moje Wierzchowieńskie jeziora, które mi tyle radości łowieckich w latach młodocianych składały, tworząc podwaliny niezłomne tężyzny dla przyszłych tragicznych walk życiowych. Co się tam obecnie dzieje? Jakie obrazy zniszczenia muszą przedstawiać z pod serca samego oderwane połaci świętej gleby ojców naszych! Smutno mi Boże! Lecz żywi niech nigdy nie tracą nadziei. Potężna ręka Matki Przyrody zaleczy rany nietylko w ludziach, lecz i w zwierzostanach. Praca nasza i wytrwałość reszty dokonają!

A tymczasem pociechą jest niemałą wiekuistość Piękna, cud nocy gwiaździstej, szkarłaty zórz, zieleń trawy, pieśń ptaszyny Bożej. Po codziennych łowach wracaliśmy obarczeni trofeami, przepojeni oddźwiękiem lat ubiegłych, którym podobne zapewne odczuwać musiał bohater „Zapisek Ochotnika", mistrza Turgenjewa, kiedy to do stepowego sioła Lgowa jeździł, ze swym wiernym strzelcem Jermołajem i jego wiecznie głodnym psem Waletką, podczas gdy rachityczny chłopak „Suczok" pchał „duszehubkę".... „i wesoło było patrzeć, jak te krótkie okrągłe ptaki „szlepały" się, gęsto padając od celnych strzałów w łozy i sitowia nadwodne"!... A w zacisznem antenatów naszych zakątku spotyka nas oprócz ócz promiennych uroczych kasztelanek i bawiących tam pań, jeszcze nadzieja wyśmienitej kolacji! Leszcze bajeczne, kaszą nadziewane! Chłodniki i pierogi niezrównane! — francuskiemi „legumes" przeplatane! — i „multum" innych delicyj! Przyjaciółka całej rodziny, wzruszająco przywiązana i miła Wikcia Borkowska, prawdziwie dawnego autoramentu postać staropolska, twarz dworeckiego" gołębio poczciwego Dawida o sumiastych wąsach i dziecinno-zacnych oczach — koiły widokiem swym duszę tak bardzo spracowaną i pokoju żądną! A później muzykalne, śliczne produkcje mej siostrzenicy!... gawędka szczera... i cichy sen krzepiący — do nowej cichej zorzy! do nowej wyprawy — po kaczki nowe! — odpoczynek stary!

Dzięki Ci Panie Bracie najmilszy! Dzięki Wam Małżonko i Córko Jego! Dzięki! o Ziemio Wołyńska, dająca mi jak Anteuszowi siłę odrodzenia.

A więc do szarug październikowych, do odstrzału łyżkodziobów, czernic, świstunów, gągołów, lodówek, ba! łabędzi może.....

Adam hr. Rzewuski.

Borsuki (Wołyń), w sierpniu 1925 r.

Podkarmianie wilków przed zimowem polowaniem.

Chcąc mieć w zimie zapewnione polowanie na wilki, w lasach, w których się one trzymają nieodzownem jest ich podkarmianie.

Przynętę stanowią padłe konie. Najłatwiej je zdobyć, wchodząc w porozumienie z handlarzami skór z sąsiedniego miasteczka. Głównie w jesieni i prawie przez całą zimę sprzedają rolnicy stare wypracowane wywłoki. W r. b. cena takiego konia ze skórą wynosiła około 14 zł. a przed wojną 7 do 12 rb. Otóż ci handlarze skórami, skupujący wybrakowane konie, zwykle chętnie się zgadzają zabijać je we wskazanem miejscu za wynagrodzeniem równającem się połowie ceny kupna.

Najlepiej odrazu kłaść większą ilość mięsa, a to ze względu, by wilki nie mogły pożreć wszystkiego w ciągu jednej nocy lub nawet w krótkim czasie i zawsze odchodząc wiedziały, że mają jeszcze po co wracać w to miejsce. Wilki dobrze to pamiętają i, jeżeli nic im tam nie pozostanie, odchodzą dalej w poszukiwaniu nowego żeru i nie wracają prędko, o ile coś znajdą. Apetyt ich jest nadzwyczajny: osiem wilków jednorazowo pożera z łatwością całego konia.

Czas kładzenia przynęty następuje z mrozami. Przy temperaturze powyżej zera mięso prędko się rozkłada i rozciągają je wrony i kruki. Zmarzłe doskonale się konserwuje, a tak jest wówczas twarde i trudne do ugryzienia, że nawet wilki nie tak prędko je pożerają.

Nie bez znaczenia jest dobre obranie miejsca na tę przynętę. Wilki są bardzo ostrożne i, podejrzewając truciznę, nie wszędzie jeść prędko zaczynają. To też najlepiej pomyśleć o tem zawczasu i, przez uprzednie wyrzucanie sztuk padłego inwentarza, przygotowywać miejsce na przyszłą przynętę. Do takich cmentarzysk bydlęcych mają wilki szczególne zaufanie, co pewien okres czasu zawsze je odwiedzają i śmiało wszystko tam jedzą, cokolwiek znajdą. Miejsca takie niepowinny znajdować się w pobliżu dróg i siedzib ludzkich, będziemy bowiem wtedy karmili nie tyle wilki, co włościańskie psy; z powodu zaś licznych tam śla-

dów zostanie utrudnione wszelkie orjentowanie się w określaniu kierunku, w którym wilki odeszły od przynęty. Takie miejsca w pobliżu wiosek i osad posiadają jeszcze tę złą stronę, że wilki, poznając bliskie sąsiedztwo ludzi, odchodzą od padliny bardzo wcześnie, zwykle w nocy, gdy panuje jeszcze zupełna cisza i nie przebudził się dzień. Mają więc możność wykorzystania panującego spokoju na drogach, któremi też odchodzą bardzo daleko.

Najlepszem miejscem na przynętę są zaciszne lasy. Ucztują w nich wilki do zupełnego światła, a nie mając już potem czasu na dalszą wędrówkę, bez obawy spotkania się z ludźmi, zalegają w pobliżu.

W wypadku, który nawiasem mówiąc stale się zdarza, gdy nie zostało zawczasu przygotowane takie miejsce, pozostaje inny sposób: w kilka dni po położeniu przynęty przyprowadza się do niej na smyczach kilka wygłodzonych psów i daje im się najeść, bacząc, by rozpoczęły ogryzać konie w kilku miejscach. Wilki, gdy to spostrzegą, nie obawiają się trucizny i przystępują do żarcia. Aby zaś prędzej trafiły na przynętę wskazaną jest tak zwana powłoka, którą stanowi w tym wypadku przeciągnięta po śniegu w kilku kierunkach, uwiązana za saniami część tuszy końskiej.

W ciągu pierwszych dni, a czasem i tygodni nie należy za często zaglądać po przynęty, a przynajmniej nie czynić tego pieszo. Wilki obawiają się ludzkich śladów. Dopiero, gdy dobrze się wnęcą i będą stale przychodziły, można pieszo się zbliżać bez obawy ich spłoszenia.

Miejsca, w których zwykły wilki zalegać, i gdzie tego można oczekiwać, należy pozostawić w zupełnym spokoju. Niedopuszczalny jest tam



Znakomity śpiewak Didur z upolowanemi przez siebie wilczkami. Fot. p. Nowak.

wówczas wyrąb lub wywóz lasu, częste przechodzenie oraz polowania z naganką na inną zwierzynę, nawet w dnie w których wilków tam niema.

Bolesław Świętorzecki.



Wilk zabity w Hrycowie przez prez. Świętorzeckiego.



Hodowla wiewiórek.

Któż z nas nie zna wiewiórki, tej ruchliwej mieszkanki naszych lasów, których jest prawdziwa ozdobą. Niezwykle zwinna, łazi wspaniale po drzewach i skacze, jak akrobata, wprowadzając w podziw każdego, kto zaobserwował jej zachowanie się na swobodzie. Mały ten gryzoń osięga nie więcej nad 25—28 cm. długości i 0,25 kg. wagi, ale posiada piękne futerko, zwłaszcza w porze zimowej i długi niezwykle puszysty ogonek, dosięgający 20 cm. długości. Na uszkach, sterczących ku górze, posiada pęczki włosów, jak pędzelki; zwłaszcza samczyk ma je silnie rozwinięte.

Futerko wiewiórki pospolitej (Sciurus vulgaris) odznacza się brunatno-rudem umaszczeniem na grzbiecie z domieszką włosków popielatych zwłaszcza w okolicach głowy, nadto podkład futerka jest również z przewagą szaro-popielatej szerści. Prawie cały spód zwierzątka bywa biały z przejściem do barwy stalowej po bokach. Zimową porą futerko staje się bardziej popielate, zwłaszcza w miejscowościach posuniętych ku północy. Na rynku kuśnierskim futerko to nosi nazwę „popielicy" i jest bardzo chętnie nabywane. Istnieją jednak wiewiórki, posiadające bardzo ciemne futerka, a nawet zupełnie czarne, które trafiają się u nas sporadycznie, a zwłaszcza w Karpatach. Wskutek powyższego myślę, iż możnaby z takiego materjału drogą odpowiedniego doboru wytworzyć cenne odmiany tych zwierzątek, dające pierwszorzędny towar kuśnierski.

Amerykańscy hodowcy zwierząt futerkowych w ostatnich czasach zwrócili uwagę na chów wiewiórek w niewoli, mając na widoku produkowanie selekcyjnych odmian tych zwierząt, dających cenne gatunki futerka.

U r z ą d z e n i e hodowli wiewiórek polega na wybudowaniu na dworze szeregu zagród z siatki drucianej ocynkowanej, przyczem należy i wierzch zagród zaciągnąć również siatką, tworząc woljery po 10 stóp długości i tyleż wysokości i szerokości każda. U dołu siatkę należy wpuścić w ziemię na pół metra głęboko, aby znajdujące się w woljerach wiewiórki nie podkopały jej. W każdej woljerze powinny rosnąć drzewka, na których wiewiórki najchętniej przebywają i mają potrzebny cień, gdyż nie przenoszą spiekoty słonecznej w równej mierze, jak i wilgoci. To też miejsce, przeznaczone na hodowlę wiewiórek, powinno być bezwzględnie suche. W każdej woljerze powinny być urządzone pudełka drewniane, które służą wiewiórkom jako legowiska. Pudełka te powinny być dobrze zbite z mocnych grubych desek i posiadać okrągły otwór wejściowy dla wiewiórki, nadto należy urządzić je w ten sposób, aby z łatwością można było je wyczyścić w razie potrzeby (zrobić drzwiczki lub poprostu zasuwę). Pudełka te powinny być zawieszone u góry w pewnej odległości od siebie. Naogół każda wiewiórka powinna mieć własne gniazdo. Objaśnia się to wojowniczością niektórych wiewiórek, zwłaszcza samic posiadających w gnieździe dzieci. Zresztą w okresie rui w jednej woljerze powinna znajdować się tylko jedna para wiewiórek.

Pudełka powinny być wysłane wewnątrz suchą ściółką, liśćmi, mchem i t. p.

W opisanych zagrodach wiewiórki przebywają zarówno w lecie, jak i w zimie. Aby ocienić część woljery, można zrobić w jednym jej końcu daszek z desek, pokrytych papą.

Cały grunt pod woljerą powinien być przepuszczalny, aby nie tworzyły się kałuże, nadto powinna być zachowana jaknajwiększa czystość.

Wiewiórki r o z m n a ż a j ą się bardzo dobrze, będąc chowane w woljerach. Na wiosnę w cztery tygodnie po sparowaniu samiczka wydaje na świat od 3 do 6 sztuk młodych, które rodzą się ślepe i niedołężne, jak wszystkie małe gryzonie. Po 9—10

dniach przeglądają na oczy i stają się podobniejsze do swych rodziców. Samiczka bardzo pieczołowicie opiekuje się młodemi i broni dostępu do gniazda. Po wykarmieniu młodych, które trwa około 6—8 tygodni, ostatnie zaczynają same zabierać się energiczniej do wyszukiwania sobie pożywienia. Samczyk przyjaźnie odnosi się do swego potomstwa i płata wraz z młodemi różne figle, zabawnie skacząc po drzewach. W czerwcu następuje drugi wykot, tak, że za letni sezon można się z łatwością dochować 12—15 sztuk. Cała ta gromada żyje dość zgodnie do nastania zimy, kiedy rozpoczyna się ubój tych zwierzątek na futerka. Można też młode z pierwszego wykotu ,po wykarmieniu ich przez samiczkę, przenieść do sąsiedniej zagrody, aby nie przeszkadzały w wychowie następnej partji.

o tych zapasach, natomiast korzystają z nich przygodne ich towarzyszki.

Naogół wiewiórki na zimę gromadzą zapasy pożywienia, które służy im podczas mrozów i słoty. Zresztą zdarza się nieraz, że w ciągu zbyt chłodnej jesieni opustoszają doszczętnie swe zapasy i w następstwie giną z braku pożywienia w czasie wielkich chłodów i zawiei. Zwyczaj zbierania zapasów zimowych zachowują również wiewiórki hodowane w niewoli. Należy ułatwiać im, do pewnego stopnia, to zadanie. Rozmaitość w pożywieniu wiewiórek odgrywa bardzo dużą rolę i wpływa na wartość futerka. Nie należy jednak przyzwyczajać ich do łakoci (cukru i t. p.), gdyż wpływa to ujemnie na proces trawienia i zwiększa koszty wyżywienia wiewiórek.



Piękny pokot. Fot. p. H. Knothe.

Z wyżywieniem wiewiórek w niewoli niema wielkiego kłopotu. Zwierzątka te, jak wszystkie zresztą gryzonie, są roślinożerne, aczkolwiek zjadają również owady i t. p. Najstosowniejszem i najbardziej lubianem przez wiewiórki pożywieniem są orzechy i nasiona drzew iglastych. Zwłaszcza ostatnie nie są drogie i mogą być zadawane wraz z szyszkami, co jest potrzebne nawet dla pracy zębów wiewiórek, które przy żywieniu miękką paszą zbyt szybko odrastają. Orzechy należy dawać w skorupkach, które powinny same wiewiórki przegryzać. Zwierzątka te jedzą również pączki z drzew, grzyby i owoce. Radde twierdzi, iż w lasach syberyjskich wiewiórki często zbierają zapasy grzybów na zimę w ten sposób, iż natykają je podczas lata na kolce i suche gałązki drzew, aby w ten sposób je wysuszyć. Zresztą nie myślą nadal

Mleko jest pożądanem przy wychowie młodych. Sucharki (wysuszony chleb lub bułki) nadają się również do skarmiania, ale głównie powinno nie brakować różnych nasion drzew, (orzeszki bukowe, cedrowe, chińskie, orzechy amerykańskie, laskowe, nasiona sosny, świerka, jodły, słonecznika i t. d.). Nadto powinna stać w glazurowanych ciężkich naczyniach czysta woda, której nie należy trzymać na słońcu.

Wiewiórki są bardzo czyste i lubią czystość. To też trzeba często zmieniać im podściółkę w gniazdach, a ziemię w zagrodzie gracować i utrzymywać w jaknajwiększym porządku.

Wiewiórki posiadają własność przeczuwania zmiany pogody. Na długo do nastania złej pogody, burzy i t. p., są bardzo niespokojne i wydają ostre dźwięki. Są to zwierzątka bardzo miłe i niezwykle

ciekawe dla miłośnika przyrody. Z punktu widzenia przemysłowego zasługują również na uwagę. W połączeniu z hodowlą naprz. kun i tchórzy i t. p. hodowla wiewiórek ma ten plus, iż mięso tych zwierzątek, po zdjęciu skórki, nadaje się do żywienia poprzednich.

O ile zatem hodowla wiewiórek pospolitych narazie nie mogła by być zbyt dochodową, o tyle wszakże wychów selekcyjnych gatunków wiewiórek czarnych i t. p. zasługuje, zdaje się na uwagę i poczynienie prób w tym kierunku.

M. Trybulski.



Krośniewice. Paśnik zimowy dla sarn.

Bażantarnia w Krośniewicach.

W krótkich słowach skreślić pragnę sposób, w jaki hoduje bażanty w Krośniewicach p. Lazar. Metoda przez niego stosowana jest dobrą: najlepiej wskazują na to setki, a nawet tysiące bażantów w lasach i polach Krośniewickich. Wśród drągowin na linjach i łąkach co chwilę spotkać można błyszczące tysiącem barw wspaniałe koguty angielskie i mongolskie. Główną zasadą, którą kieruje się tutejszy nadleśny, jest bezwzględna czystość, w jakiej wylęgają się i chowają małe pisklęta. Również wielką tu uwagę zwracają na zawsze świeży, zdrowy pokarm i ochronę w dzień i w nocy przed szkodnikami, które ze wszystkich stron do bażantarni ściągają po łatwy łup. Gdy małe pisklęta nieco pod-

rosną, p. Lazar zmusza małe bażanty, ażeby choć w części same sobie wyszukiwały pożywienia i przyzwyczajały się do przyszłego dzikiego życia i walki o byt. W tym celu przenoszone są klatki z indyczkami z miejca na miejsce po całym lesie, przez co małe bażantki uzyskują coraz to nowy teren dla poszukiwania pokarmu. Zawsze jednak w bliskości pasących się bażantów przebywa bażantarnik uzbrojony w strzelbę, z której ginie nie jeden zbyt łakomy drapieżnik.

zwykle odlatują. Istnieje jednak jeden gatunek kaczek, który po wychowaniu stale trzyma się jednego miejsca. Jaki jednak to gatunek, nie mogłem stwierdzić, bo w Krośniewicach wojna doszczętnie go wyniszczyła.

Pan Paweł Lazar zaobserwował, że przy bażantarniach również chować można z dobrym skutkiem cietrzewie. Próby jednak na większą skalę wykonać nie mógł z powodu braku jaj cietrzewi, zdatnych do wylęgu. Za mojem więc pośrednictwem



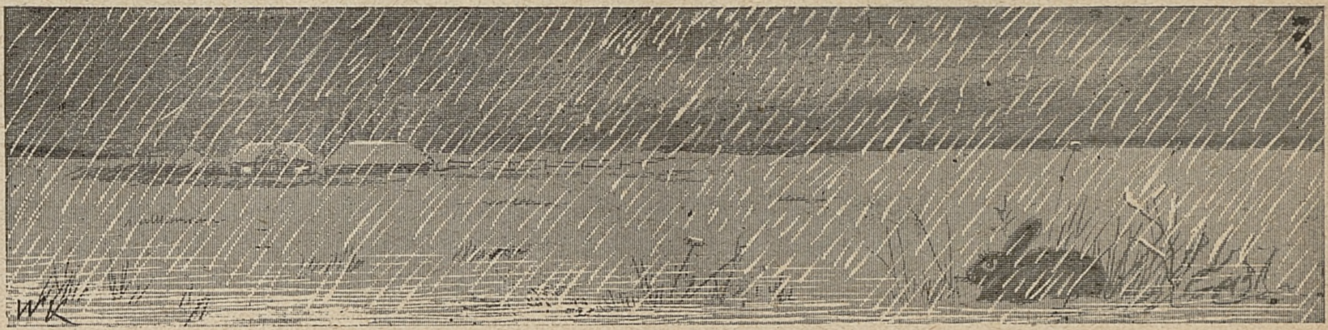
W bażanrni krośniewieckiej.

W bażantarni Krośniewickiej wylęga się rok rocznie pewna ilość kuropatw i dzikich kaczek, z jajek, które nie mogły być normalnie przez rodziców wylęgnięte. Przy hodowli kuropatw następujący stosują sposób: W zimie łapią stare koguty kuropatwie, pod które wiosną podkładają małe kuropatewki, wylęgnięte z zebranych jajek i wysiedziane przez japońskie kury. Prawie zawsze kogut przyjmie opiekę nad maleństwami i przeznaczone mu stadko wyprowadzi w pole. Małe kaczki krzyżówki i cyranki niewdzięczne są do hodowli, bo z jesienią

zwraca się z gorącą prośbą do Czytelników o łaskawe poinformowanie, gdzie można obecnie jajek cietrzewich dostać, ewentualnie wzamian za bażancie. Jak wielkie urozmaicenie w naszych łowach mogłaby dać szczęśliwie dokonana próba p. Lazara z hodowlą cietrzewi, najlepiej ten zrozumie i oceni, kto wczesną wiosną spędzał czarowne chwile na tokach.

Antoni Łączkowski.

(D. c. n.).



O zwierzyńcach i zwierzyńcu w Poznaniu.

Zwierzyńce, parki lub też inaczej zwane ogrody zoologiczne, są to miejca specjalne, zalesione, posiadające odpowiednią ilość wody, a przeznaczone do chowania zwierzyny dzikiej i wystawiania jej na publiczny widok.

Ogród zoologiczny to instytucja kulturalna, naukowa, pedagogiczno-wychowawcza. Tu można obserwować życie i zwyczaje zwierząt, czego nigdy byśmy nie podpatrzyli, gdyby te zwierzęta żyły na zupełnej wolności; tu dopiero zdołano je odfotografować i uzyskać prawdziwy ich obraz. Tu dziecko może zobaczyć w rzeczywistości to, czego się nauczyło w szkole z książki lub obrazka.

Pierwsze ogrody zoologiczne posiadali Chińczycy już na półtora tysiąca lat przed nar. Chrystusa. Te same upodobania mieli Rzymianie, Grecy i Assyryjczycy, zakładając bogate menażerje. Hiszpanie po zdobyciu Meksyku zdumieni byli ilością i bogatem wyposażeniem cesarskich menażerji. W Europie przeważnie w XVI wieku poczęto zakładać te pożyteczne instytucje przy dworach panujących. W Paryżu w r. 1794 sprowadzono zwierzęta z menażerji w Wersalu do „Jardin des plantes"; w Antwerpji powstał ogród zoologiczny w 1842 r., w Amsterdamie w r. 1838. Menażerja hrabiego of Derby dała w r. 1828 początek ogrodowi zoologicznemu w Londynie. Wiedeń ma swój zwierzyniec w Schönbrunie. Niemcy zaś w Berlinie, gdzie żyje 7 żubrów, a ponadto Hagenbeck w Hamburgu utrzymuje jedyne w całym świecie przedsiębiorstwo handlowe z dzikiemi zwierzętami z całej kuli ziemskiej. Bolszewicka dziś Moskwa posiada też ogród, a w nim 8 żubrów. Szwajcarja utrzymuje park ochrony przyrody w dolnym Engadinie, opodal włoskiej granicy. W Australji powstały zwierzyńce w stanie Victoria, dalej koło Sydney i na wyspie Tasmanji. Amerykanie mają swój narodowy park ochronny w Yellowstone, który powstał w r. 1872 z uchwały rządu. Posiada on prawie 8700 kilometrów kwadratowych przestrzeni. W bogatym parku księcia na Pszczynie żyje między innemi 16 żubrów. Pozatem istniał przed wojną cały szereg różnych prywatnych usiłowań w tym kierunku. Wyliczę tu kilka mi znanych: Książę Schwarzenberg utrzymywał w swych dobrach czeskich sporą połać lasu w stanie zupełnie dziewiczym, koło Magdeburga istniała kolonja bobrów, strzeżona jak oko w głowie i pielęgnowana jak dziecko; baronowie von Crallsheim utrzymywali w swych dobrach jezioro, na którem gromadziły się chmurami czaple, niepłoszone przez żadnego człowieka i t. p.

W dawnej Polsce było zwierzyńców wielkie mnóstwo. Każdy zamożniejszy pan posiadał w pobliżu swej rezydencji zwierzyniec, w którym — gdy chciał — bawił się myśliwstwem, a który — gdy potrzeba była — był magazynem wszelakiego smacznego mięsiwa na wystawne stoły jego.

Wspomnę tu bodaj o kilku zwierzyńcach, jak Zwierzyniec Komarniański, zwierzyniec ordynatów Zamoyskich we wsi Zwierzyniec nad Wieprzem, ciągnący się na dwie mile ku miastu Józefów, a w którym jeszcze w XVIII wieku miały być dzikie konie polskie. Zwierzyniec Radziwiłłowski w pobliżu Białej na Litwie, gdzie prócz niedźwiedzi, wilków, dzików, zajęcy i t. p. poprzedzielanych parkanami, prowadziło swobodny żywot przeszło 600 danieli. W zwierzyńcu w puszczy Jaktorowskiej na Mazowszu przeżyły tury do początku XVII wieku, a w zwierzyńcu królewskim w Białowieży tak zwanym „Wielka Kletna" przechował się żubr „brodacz sędziwy" aż do czasu wojny światowej która wśród licznych tragedji świata przyniosła także tragedję żubra polskiego. Według Starowolskiego w Krzepickim zwierzyńcu było tysiąc sześćset jeleni, prócz innej różnorodnej zwierzyny.

W dobrach Grodziskich, w. W. Ks. Poznańskiem istniał zwierzyniec założony w r. 1852 przez sędziego apelacyjnego Kutznera. W Antoninach pod Ostrowem założył zwierzyniec Antoni Radziwiłł, zaś w dobrach Rydzyńskich książę Sułkowski. Sławny zwierzyniec w Skierniewicach, o przestrzeni przeszło tysiąc morgów, a założony przez jenerała

Hauke za czasów W. Ks. Konstantego liczył wielką ilość danieli, sarn i dzików.

W Podhorodcach w Małopolsce istniał piękny zwierzyniec, względnie menażerja Stanisława Konstantego Pietruskiego, założona w celach naukowych, a która dnia 7 l. pamiętnego roku 1848 — spłonęła doszczętnie. W Zofjówce posiadał smutnej pamięci Szczęsny Potocki oryginalny zwierzyniec, w którym urządził wodotryski i poustawiał posągi bogów, opiekujących się myśliwstwem, jak Apollina, Djany i t. p. Ogród zoologiczny założony w r. 1878 w Warszawie, prywatnem usiłowaniem kilku miłośników natury, zdołał niestety utrzymać się zaledwie lat kilka. W dobrach Piszczowskich na Wołyniu założył magnat polski Józef hr. Potocki zwierzyniec w Pilawinie, który prędko stał się Mekką nietylko polskich myśliwych, ale z całego świata. Zwierzyniec ten wraz ze zwierzyną, zabudowaniami i ogrodzeniem zrównała z ziemią tłuszcza bolszewicka w czasie przewrotu w Rosji, grzebiąc na wieki potężne dzieło ducha polskiego.

Przebrzmiały echa dawnej królewskiej sławy polskiej. Po dniach blasku i słońca rozsnuły się ciężkie dni smutku i dźwigania krzyża, aż wreszcie w XX wieku skończyliśmy drogę pełną kolców i Polska znów zajaśniała w blasku potęgi. Inne czasy, inni ludzie, inny też wygląd ziemi ojczystej. Z dawnych zwierzyńców polskich pozostały tylko wspomnienia i szukać ich należy już tylko na kartach historji. Pozostał nam dziś tylko jeden jedyny ogród zoologiczny w Poznaniu, który cieszyć się winien ojcowską opieką całego narodu, a o istnieniu którego winno wiedzieć każde dziecko polskie.

Ogród ten powstał w roku 1871 na miejscu t. zw. starogardzkiego dworca kolejowego, założony zgodnemi siłami Niemców i Polaków. W roku 1911, miasto Poznań przyjęło ten ogród na swoją własność i otoczyło troskliwą opieką. Do najbardziej zasłużonych na polu organizacji tego zwierzyńca należeli polski nauczyciel Zieliński i niemiecki kupiec Jaekel. Zieliński po dziś dzień jest członkiem Zarządu Zwierzyńca. Po upadku Hohenzollernów, a wskrzeszeniu Polski, ustąpili Niemcy demonstracyjnie z Zarządu, a cały ciężar utrzymania przy życiu tej instytucji spadł na ramiona Polaków, i to w momencie krytycznym, bo w czasie jej upadku. Bowiem z wybuchem wojny ogród ten liczył 900 okazów w 400 gatunkach, zaś w roku 1919 objęliśmy po Niemcach zaledwie 243 zwierząt w 75 gatunkach. Wojna, a z nią idący głód, choroby i brak opieki poczyniły spustoszenia w klatkach. Jednak zarząd polski przy poparciu miasta Poznania wziął się skutecznie do pracy. Przebrzmiały dnie trwogi i zdawało się beznadziejnej troski o ratunek instytucji w Polsce, popłynęły datki w pieniądzach i naturaljach i Ogród uratowano. Jednak sytuacja finansowa tej instytucji jest nadal ciężka. Robocizna w ogrodzie i żywienie zwierząt tworzą największą rubrykę rozchodów, a przecież prócz tego trzeba nabywać nowe okazy; nie wolno stać na miejscu, trzeba iść naprzód, rozwijać się. Z informacyj, których mi uprzejmie udzielił p. Kazimierz Szczerkowski, człowiek niezmordowanej pracy, a dyrektor ogrodu, dowiadujemy się, że ogród posiada dziś już około 600 sztuk zwierząt w przeszło 200 gatunkach ze wszystkich części świata. Wymienię tu tylko takie, jak 2 stare żubry z cielakiem, które nabyto z wielkim trudem za 12.500 zł. od p. von Beyme'go z Scharbow z Meklenburgji, bawół (dar braci Szyllerów z Poznania), bizon amerykański, zebu, słoń indyjski, tapir, kangury, jeleń Wapiti, zebra, 2 wielbłądy dwugarbne (dar p. Prezydenta Rzeczypospolitej St. Wojciechowskiego), wielbłąd jednogarbny, niedźwiedzie, antylopy, lew, hjena, lampart, lama, gnu, jakoteż wszystkie okazy polskiej fauny, pozatem bogata małpiarnia, woljera dla sępów i orłów, dwa stawy z różnem ptactwem wodnem, ptaszarnia, pawilon dla gryzoni i małych drapieżców, pawilon dla strusi i t. p.

Pozwolę tu sobie popełnić małą niedyskrecję i przytoczyć dosłownie jeden ustęp z listu p. Szczerkowskiego: „Obecnie budujemy wielką wolerję dla ptaków brodzących i t. p., a w przyszłym roku zamierzamy wybudować nowoczesne akwarjum i terrarjum, o ile doznamy nadal życzliwego poparcia finansowego ze strony społeczeństwa polskiego. Jak każda inna instytucja społeczno-naukowa, tak i my walczymy ustawicznie z trudnościami pieniężnemi. Gdyby nas cała Polska, a mianowicie rząd, instytucje handlowe i przemysłowe, zamożni obywatele i t. p. finansowo, a świat naukowy intelektualnie wspierał — to by Ogród Zoologiczny w Poznaniu nabrał sławy europejskiej."

Honor trzydziestomilljonowego państwa wymaga, aby Ogród Zoologiczny w Poznaniu cieszył się rozgłosem i sławą europejską.

Dochody swe czerpie Ogród z wstępnego, z dobrowolnych darów w pieniądzach i naturaljach i z subwencyj. Źródło jednak tych dochodów nie jest jednak bogatem ani obfitem. Oto w pierwszym polskim „Przewodniku po Ogrodzie Zoologicznym w Poznaniu z r. 1924" czytamy dosłownie następujące, a wszystko mówiące słowa:

„Po prawej stronie za jeleniarnią stoi domek z basenem dla lwów morskich (Zalophus californicus). Ponieważ jednak zwierzęta te żywią się tylko rybami morskiemi, a potrzebują dziennie do 7 kilogramów pokarmu, ze względów oszczędnościowych nie nabyto ich dotąd."

Przyznaję się otwarcie, że jako członek trzydziestomiljonowego narodu, z pewnem upokorzeniem powyższą cytatę tu przytaczam.

Nie wątpię, że każdemu prawemu Polakowi

zależy na tem, aby jedyny polski ogród zoologiczny dosięgnął sławy europejskiej. Nieśmy więc wspólnie pomoc tej placówce, która winna być chlubą naszą.

Naczelne miejsce winien tu zająć rząd polski ze stałą subwencją. Exempla trahunt! tembardziej o ile idą z góry. Następnie winno pośpieszyć z pomocą społeczeństwo, głównie Rady Miejskie, opodatkowując się na stałe choćby drobną kwotą — w tem przeświadczeniu, że „ziarno do ziarnka, a zbierze się miarka“, a o brak tej miarki rozbijają się właśnie najlepsze zamierzenia Zarządu Ogrodu. Towarzystwa akcyjne, handlowe i przemysłowe, rozdzielając po dokonaniu bilansów zapomogi instytucjom społecznym, niechaj pamiętają, że w tym samym szeregu potrzebujących, stoi też nasz zwierzyniec poznański. W wielkiej mierze mogą przyczynić się do rozwoju ogrodu ziemianie, nadsyłając dary w naturze jak siano, słoma, rośliny okopowe, wybrakowane konie i t. p.

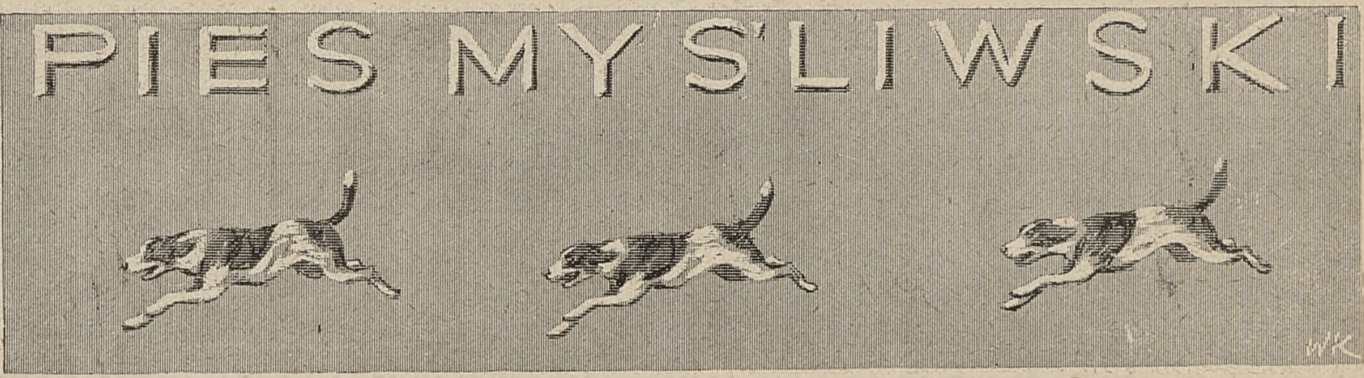
Leśnicy zaś i myśliwi niechaj nadsyłają żywe okazy krajowej fauny.

Każdy obywatel, choćby tylko przejeżdżał przez Poznań, winien się tu zatrzymać i zwiedzić ogród. W r. 1924 zwiedziło tę kulturalną placówkę sto siedemdziesiąt tysięcy osób płatnie, i liczne wycieczki dzieci i żołnierzy bezpłatnie. Wycieczkom szkolnym winien rząd udzielać ulg kolejowych. Nie wątpimy też, że i nasza armja, jak dotąd zawsze ofiarna w sprawach narodowych i społecznych, poprze i teraz moralnie i materjalnie intencje Zarządu.

Przy każdej okazji i sposobności pamiętajmy o jedynym polskim zwierzyńcu, pamiętajmy o nim ale wszyscy, a wtedy stanie on na wysokości godnej wielkiego Narodu.

Józef Władysław Kobylański.

W Przemyślu 1925.



Kilka słów o psie myśliwego.

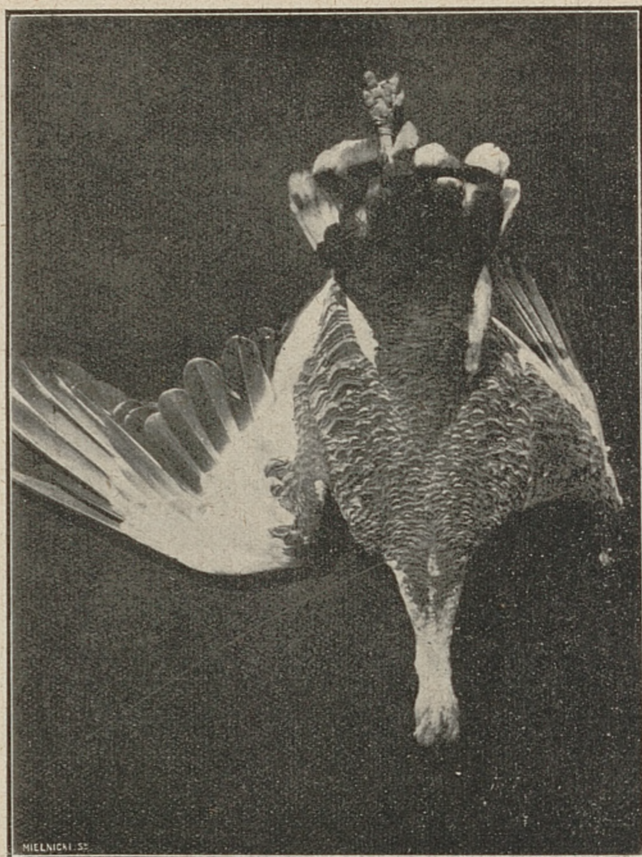
(Dokończenie).

Właściciel psa starać się będzie próbować swego wychowańca we właściwych mu warunkach i na znanym psu terenie, co zresztą uważać należy za zupełnie celowe, gdyż pies strudzony dalszą kolejową lub kołową drogą, znalazłszy się w obcem sobie otoczeniu i odmiennych warunkach, może na razie nie wykazać rzeczywistych swych zalet i tresury i mniej doświadczonego nabywcę odrazu do siebie zrazić. Zbyt więc spieszne wydawanie opinii o psie takim jest szkodliwe, psa winno się poddać dłuższej próbie i w różnych okolicznościach. Aby należycie go ocenić można było, przytoczę tu przykład z mego doświadczenia. W 1894 r. przybył do mnie na czas jesiennych polowań do Chersońszczyzny „na dzikie pola“ mój brat doktór, jeden z doskonałych myśliwych, w Radomskiem i Częstochowskiem znanych, przywiózł z sobą w tym celu sprowadzonego psa krótkoszerścistego z Włocławka, niemieckiego „Deita“ grubo zapłaconego. Pies miał atestat „idealny“. Jakże niepomierne było me zdziwienie, gdy ten niemiecki wytwór najspokojniej właził w stado kuropatw nie zwietrzywszy go, lub o 5 kroków mijał strepieta zaszytego w burzanie. Trwało to dni kilka w czasie upalnym (45 — 40° R.) sierpniowym, lecz aura nagle się zmieniła — nastały dni chłodniejsze poranki rosiste i pies pokazał wysoką tresurę, dobry nos i nadzwyczajną inteligencję.

Wracam jednak do poruszonej sprawy. Najlepszą gwarancją dla kupującego jest osobiste wypróbowanie danego egzemplarza przez czas dłuższy np. dni kilka. Niechętnie jednak na oddanie swego wychowanka zgodzi się jego właściciel, często żąda od kupującego wysokiej kaucji, przewyższającej wartość, co można uważać za zupełnie słuszne, gdyż młody zwłaszcza pies w ręku dyletanta łatwo może się

zepsuć, a stary poznawszy fuszera w swym nowym panu, nie będzie go słuchał, od czego znów bardzo trudno będzie go odzwyczaić. Pies taki przy swej inteligencji odrazu zrozumie z kim ma do czynienia i jeżeli nowy pan jego właściwie z nim będzie umiał postępować i wykorzystać jego zdolności, odrazu przywiąże go do siebie i mieć z niego będzie wiernego i użytecznego pomocnika, zaś pies przez niedoświadczonego myśliwego nie zrozumiany, źle traktowany i prowadzony, często skrzyczany lub skarcony niesłusznie zniechęca się łatwo, leniwieje i w końcu staje się nieużyteczny. Taki pan, nie umiejący prowadzić psa należycie, winien sobie przyswoić maniery dawnego właściciela, naśladować jego głos i komendę, jeżeli chce mieć z psa rzetelnego pomocnika. Zapewnie młody myśliwy zapyta mnie, na czem więc polega próba psa, którego chce nabyć? Dla mnie zawsze głównym warunkiem kupna był u psa dobry apel. Gdym poraz pierwszy wyprowadził psa w pole, udawałem, iż mało na niego zwracam uwagi. Gdy zbyt daleko odbiegał odemnie, krótkim świstem przywoływałem go i gdy w szybkim tępie powracał do mych nóg, apel był dobry; skoro ociągał się po mym sygnale, przystawał i niechętnie bokiem powracał, nieśmiało opodal zatrzymując się przedemną — apel był zły, psu brakowało pokojowej tresury i posłuszeństwa, czego też nigdy potem nauczyć takiego psa nie można. Stworzenia takiego nigdy nie ma się w ręku w chwili najpotrzebniejszej, a osobliwie na polowaniu zbiorowem, przy kilku psach innych myśliwych. Pies taki gorączkuje się, bałamuci inne swem niesfornem zachowaniem się i wywołuje irytację reszty myśliwych. Kupno takiego exemplum „wsypuje nas rzetelnie“, straciliśmy pewną sumę ciężko zapracowanego grosza i w dodatku karmić i trzymać musimy nieużytecznego darmozjada.

Aby świeżo nabytego psa wyprobować należycie, wyprowadzałem go w pole przy złej pogodzie i niepomyślnym wiatrze. Wyżeł źle ułożony lub zepsuty, na mój rozkaz rzucał się bezmyślnie we wskazanym mu kierunku, biegał jak szalony, omijał krzewy i zarośla, a przywołany nie zawsze usłuchał, lub leniwie okrążał mnie bojaźliwie i do nogi iść nie chciał. Pies zaś idący na me skinienie w danym kierunku w równym tempie z nosem wysoko podniesionym, łapiący chciwie wiatr w nozdrza, robiący dalekie kręgi i przecinający je, przekłada pracowicie w tę lub inną stronę, rewidując każdy krzew lub kępę, zwietrza zwierzynę na dystans daleki, ściąga do niej ostrożnie i stara się zajść jej tak, by ją dostać między siebie i myśliwego, a stanąwszy niezbyt krótko przed nią jak nieruchomy posążek, całym przodem do ziemi przylgnąwszy czeka na zbliżenie się strzelca, zaś odwołany posłusznie do nóg mu powraca — pies taki odpowiada wszelkim wymaganiom myśliwego — ma wysoką rutynę, nos doskonały i apell świetny. Aportowanie dobre zwierzyny jest nie mniej od innych pożądaną dla myśliwego zaletą psa. Dobry pies chętnie na rozkaz idzie do wody, przynosi mu z niej zabitą kaczkę, lub znajduje leżącą na równem polu kuropatwę, lecz odnaleźć zbarczonego koguta na nierównym terenie, w poplątanej naci kartofli, wysokim gęstym burzanie, lub leśnych zaroślach nawet dla psa rutynowanego nie



DROP.

jest rzeczą prostą i łatwą i nie każdy pies umie sobie w tym wypadku radzić. Przy tej robocie daje się najlepiej poznać wyrobienie psa. Głupi wyżeł nim na ślad wpadnie, już się gorączkuje, a doszedłszy postrzałka raptownie rzuca się na niego, najczęściej chybia, traci zdobycz, a nim znów na oko ją weźmie, ptak dawno dał mu nura w gęstwinę i bezpowrotnie mu ginie. Dobry aporter o równym szybkim tempie z nosem przy ziemi idzie śladem ubiegającej zwierzyny i atakuje ją wtedy, gdy ma zupełną pewność jej pochwytu — powraca zawsze ze zdobyczą i kładzie ją u nóg swego pana, choćby ten zmienił miejsce i daleko oddalił się od miejsca, gdzie zastrzelił kurę, czy

kota. Nabyłem z psiarni renomowej inżyniera Nowickiego w Nowo-Ukraince w Chersoń. gub. wyżlicę „Pardwę“, która niosąc raz postrzałka blisko półtorej wiorsty przez step odkryty nie pozwoliła go sobie odebrać berkutowi, atakującemu ją na całej drodze, odnalazła mnie, jakkolwiek na znaczną przestrzeń oddaliłem się od miejsca postrzału zająca; podprowadziła skrzydlatego rabusia na strzał dogodny, jednak najhaniebniej go z dwuch luf spudłowałem. — W górzystych, zalesionych okolicach w Niemczech, posiadają wyżły zastępujące psy gończe. Tresura ta zasadza się na tem, że wyżeł tam odszukuje w zaroślach zwierzynę, głosem daje o niej znać myśliwemu i podprowadza go do niej. Nam takiej tresury nie potrzeba, posiadamy przecież jeszcze doskonałe nasze gończaki, których głos tak raduje nasze serca myśliwskie. Cóż może nam zastąpić tę jedyną w swym rodzaju przepiękną muzykę, gdy stojąc wśród ciszy zimowego poranka na wzniosłym pagórku, słyszymy w dalekiej dolinie słaby i urywany, piskliwy głos, jakby jaki jęk skargi nieśmiałej, to znów hałas nagły psiej zgrai, jak wrzawę bojową lasem wstrząsającą! Lecz znów odbiegam od tematu, myśl unosi mnie do tej kniei, gdziem najrozkoszniejsze chwile mego życia spędził, dokąd nieprzerwanie i teraz coś ciągnie, porywa. Łaskawy czytelnik wybaczy tę słabość staremu koledze, dziś jedynie wspomnieniami ubiegłych lat się cieszącemu, wspomnienia nasze przecież są tym naszym jedynym rajem, skąd świat nas wypędzić nie może. Na zakończenie mych krótkich wskazówek młody myśliwy przyjmie mą radę: nie kupować psa bez próby, starać się poznać swego czworonogiego towarzysza, zanim wyda się o nim opinję, obchodzić się z nim łagodnie i nie zrażać się małemi brakami jego, a starać się je poprawić. W karceniu trzeba być bardzo ostrożnym, by przez niesłuszne skarcenie psa do siebie nie zniechęcić na zawsze. Wyżeł jest stworzeniem bardzo pojętnem, nie rzadko podziwu godny posiada rozum i wysoką inteligencję i z psa takiego praktyk-myśliwy może urobić prawdziwego psa idealnego, wzbudzającego u kolegów podziw i naturalnie — zazdrość.

Wł. Czerniejewski.

Referat o IV Konkursie wyżłów dowodnych.

(Dokończenie).

Co do pracy polnej, to mokre, dżdżyste lato tegoroczne nie nadawało się wprawdzie do wprawiania dostatecznego młodych wyżłów w tym fachu; ale „Raudi“ już w drugiem przecie jest polu, a jednak sprawność jego w tym punkcie na niskim jest poziomie, i bardzo wiele pozostawia do życzenia. W interesie naszych urządzeń publicznych nie wolno mi przemilczeć, że niegotowych, połowicznych tylko kandydatów nie powinno się zgłaszać do jawnych popisów, jeżeli te popisy zachować mają znaczenie poważne, a nie stoczyć się do poziomu powierzchowności i dyletantyzmu.

3) „Wisła“ spisuje się dobrze w pracy za farbą i jako tako w aportowaniu drapieżnika i królika; jej zachowanie się na stanowisku i warowanie na strzał nie jest wystarczające. Ciętość kandydatki jest słaba, praca zaś wodna wystarcza wprawdzie, ale w porównaniu do sprawności innych kandydatów w tym dziale wiele jeszcze pozostawia do życzenia. Niezła była jej praca w polu, gdzie prawie same dobre zdobyła cenzury; „dość dobre“ tylko było jej aportowanie kuropatwy po sztucznym szlaku, oraz jej zachowanie się przed zrywającą się zwierzyną lotną. Zająca goni.

Ogółem wziąwszy suczka ta nie odznacza się wprawdzie uderzającą sprawnością, lecz zdobyte przez nią cenzury upoważniły sędziów do przyznania jej trzeciej nagrody.

4) „Diana“ przeszła w toku konkursu w inne ręce i nie została do końca egzaminowana.

5) „Rex“ w dziale leśnym i wodnym oraz w ciętości doskonałe zrobił wrażenie. Jego praca za farbą była dobra; dobre i bardzo dobre jego aportowanie drapieżnika i królika na szlaku sztucznym, podobnież jego buszowanie i zachowanie się na stanowisku i na otoku, dość dobre, a więc wymagające wydoskonalenia, jego warowanie na strzał.

Lisa brał świetnie i w mig się z nim załatwił, chwytając go za kark.

Również bajeczna była jego praca wodna; za kaczkami bobrował głośno, aportował z głębokiej wody dobrze.

Jeśli się zważy, że „Rex“ najmłodszy był ze wszystkich kandydatów i po raz pierwszy dopiero przeżywa sezon na kuropatwy, nie można się dziwić, że praca jego polna różne jeszcze wykazuje niedociągnięcia, które chwilami dość mocno nawet raziły. I tak dociąganie jego jeszcze nieco za gwałtowne, spokojniejsze też mogłoby być zachowanie przed zrywającą się zwierzyną lotną, niedostateczne jeszcze jego wytrzymanie na strzał,

aportując zaś zgubę, nie trzyma się sumiennie szlaku, choć kurę znajduje i przynosi.

Są to niewątpliwie niedomagania, które z wzrastającą wprawą znikną, ale które jednak na razie jeszcze istnieją. Natomiast sposób szukania „Rexa" i jego wystawianie są bez zarzutu.

Lecz niedomagania te w wymienionych działach, często tresurowych, żadną miarą nie mogą zaciemnić znakomitych kwalifikacji tego wyżła młodego. Jestem przekonany, że p. Przybyla wyzyska dobrze jeszcze sezon obecny, który w drugiej połowie, miejmy nadzieję, lepszą niż dotąd odznaczać się będzie pogodą, i że usunie wskazane powyżej niedokładności oblubieńca swego. A warto, w wodzie zupełnie dorównywa „Irze", a która żadnej prawie ciętości nie pokazała.

Praca polna „Iry" zapowiada się w przyszłości bardzo dobrze; skoro kandydatka nabierze więcej systematyczności w szukaniu oraz poprawi się jeszcze w działach, których istota polega na doskonałym apelu, natenczas jej sprawność w suchem polu będzie na wysokim poziomie.

7) „Wera", siostra sprzedanej podczas Konkursu „Diany", ale zupełnie do niej niepodobna, maści ciemnoszarej z podpaleniem żółtawem koło nóg i nad oczami, podczas gdy tamta jest cała ciemnożółta, w wszelkich działach leśnych zdobyła sobie cenzury, dobre jedynie sposób buszowania jest za nagły.



„Reks z nad Gopła" II nagroda, własność p. Przybyły.

bo jeśli to nastąpi, „Rex" jako pierwszorzędny wyżeł będzie tem dla hodowli „z wielkop. kniei", czem „Ingo" jest dla hodowli „z bukowego wzgórza".

6) „Ira" najlepiej obok „Inga" pracowała za farbą i wogóle bardzo zdolną okazała się wyżlicą, mimo niektórych braków czysto tresurowych, które się ujawniły w zachowaniu się jej na stanowisku, w niedość wyrobionym jeszcze apelu, oraz w aportowaniu zgubionego drapieżnika.

Dobrze zbudowana kandydatka, bardzo zadawala sędziów w pracy wodnej. Wyżły nie lękające się mokrego elementu ani gąszczu trzcin i wąsatych zarośli wodnych zwykle odznaczają się też ciętością. Potwierdzają to doświadczenie „Ingo", „Rex", „Bessy" i „Mars". Ciętość „Iry" natomiast pozostawia do życzenia, mimo dobrej pracy wodnej kandydatki, w wyższym jeszcze stopniu rozbieżność między ciętością a pracą wodną ujawniła się u „Diany" p. Jasińskiego, która sprawnością swą

Kandydatka dławi drapieżnika, choć nie tak sprawnie jak „Ingo", „Rex" lub „Bessy".

Sprawność jej w wodzie jest dobra, lecz trzeba ją odzwyczaić od upuszczania aportowanej z wody kaczki.

W polu kandydatka nie była równa. Sędziowie nic nie mają do nadmienienia względem jej sposobu szukania, jej wystawiania, respektowania zajęcy, posłuchu na wskaz; lecz przykre wrażenie robił jej brak wytrzymania na strzał i jeżdżenie za zrywającą się zwierzyną lotną. Sprawność w aportowaniu kuropatwy na szlaku sztucznym jak tylko dostateczna, bo kandydatka znajduje wprawdzie i przynosi kurę, ale nie trzyma się szlaku; nie bez winy był tu jej mener, który gwałtownie ją przynaglał do wypracowania włóczki, zamiast wpłynąć właśnie uspokajająco na suczkę, która i bez przynaglania skłonna jest do puszczania cugli swojemu temperamentowi.

8) „Mars“ dziwnie niepewny był w wypracowaniu tropu sfarbowanego, tracąc go kilkakrotnie, lecz ostatecznie doprowadził do kozła. Menerzy powinni od czasu do czasu powstrzymać psa i kazać sobie farbę pokazać, pracując z wyżłem na otoku na tropie sfarbowanym; gdyby farby nie było, winni cofnąć wyżła do miejsca, gdzie na ostatku farbę widzieli — tylko w ten sposób mogą mieć w praktyce nadzieję, że dojdą za wyżłem na otoku do ubitej sztuki.

W innych działach leśnych „Mars“ zadowolił sędziów w wysokim stopniu, z wyjątkiem aportowania drapieżnika po szlaku sfarbowanym; trzy razy założony na szlak, doszedł wprawdzie do kota trzy razy prawidłowo, ale nie aportował go—a ulotnił się do leśniczówki, bo tam grzejąca się jamniczka większą była dla niego atrakcją niż cuchnące kocisko.



„Wisła z nad Gopła“ III nagroda własność p. Przybyły.

„Mars“ nie jest wprawdzie bezwzględnym dławicielem, ale dobrze osadza kota. Jego sprawność w wodzie jest bez zarzutu.

W polu natomiast słabą tylko wykazuje umiejętność; od wyżła w drugiem polu stanowczo więcej się wymaga. Jego sposób szukania, wytrzymanie na strzał, zachowanie przed zrywającą się zwierzyną lotną wiele pozostawia do życzenia. Kuropatwę, z którą sporządzono włóczkę, przynosi wprawdzie, lecz nie trzymając się szlaku, znajduje ją przypadkiem tylko.

9) „Diana“, siostra „Inga“, własność p. Jasińskiego, najmniej z wszystkich kandydatów wykazuje ciętości. Szkoda, bo gdyby energiczniej była zabrała się do kota, byłaby miala widoki na III premję, mimo że nie przyniosła kociska, choć prawidłowo do niego po szlaku sztucznym doszła, i mimo, że w rubryce warowania na strzał świeci brzydkie zero w notesach sędziów.

Pozatem bowiem zadowoliła sędziów jej sprawność w pracy leśnej; również w wodzie, jak już wspomniałem, bardzo dobre robiła wrażenie.

Z przyjemnością stwierdzam, że w sprawności w polu wyróżniła się przed niejednym innym kandydatem; życzyćby tylko należało więcej systematyczności w sposobie szukania i twardszego wystawiania.

10) „Bessy“ zawiodla zupełnie w pracy za farbą; miałem wrażenie, że albo zaniedbano ćwiczyć ją w ważnym tym dziale, albo trzeba było kazać jej luzem, jak była tresowana, na tropie pracować, a nie na otoku.

Pozatem praca jej leśna była w wysokim stopniu zadawalająca.

Znakomicie też załatwiła się z lisem, dławiąc bardzo dobrze; świetnie również sprawiła się w wodzie.

Natomiast praca jej w polu, w której dawniej specjalnie się odznaczała, bardzo ucierpiała. Nie mogłem się wydziwić, gdzie się podział jej stylowy sposób szukania, jaki podziwiałem przed trzema laty, i jej apel. Podobno niedawno temu „Bessy“ się grzała, ale według oświadczenia jej właściciela, było temu już przecież parę tygodni; nie mogło to więc działać w tak uderzający sposób na jej sprawność; zresztą świetne załatwienie wielu działów leśnych oraz pracy wodnej bynajmniej nie zdradzały, by „Bessy“ była niedysponowana. Sądzę, że głównym powodem dyskwalifikacji wyżlicy, jest niewłaściwy sposób prowadzenia jej.

Na koniec kilka uwag pod adresem panów menerów.

Publiczne popisy wyżłów nie tylko mają wykazać sprawność kandydatów, lecz mają też wychowawczo działać na tych zwłaszcza, którzy mają ochotę zajmować się tresurą wyżłów, i dla których prawidłowe zachowanie się menerów ma być wzorem i szkołą. Lecz niekiedy sami menerowie jeszcze popełniają błędy, które ujemny wpływ wywierać muszą na widzów.

Najczęściej p. menerzy błądzą zbyt częstem nawoływaniem wyżłów; szczególnie uwydatniało się to w buszowaniu i w pracy polnej. W buszówce wszystko spokojnie odbywać się powinno; wyżeł przecież ma krótko przed myśliwym wystawiać spotkaną zwierzynę — czy to w dragowinie lub podszytym wysokim lesie, czy na zarośniętych kulturach lub szczerbatych niskich zagajeniach. A któraż zwierzyna zniesie tyle gwizdania i krzyku, i nie pomknie niespostrzeżona przez myśliwego z legowiska przedwcześnie, jeśli już na daleki dystans słyszy niezwykłe nawoływania i wieczny świst gwizdawki? Ale oczywiście chcąc uniknąć w praktyce takiego przedwczesnego płoszenia, trzeba wyżła przyuczyć częstem ćwiczeniem do krótkiego szukania, do trzymania się pod strzelbą myśliwego — inaczej cała buszówka będzie bezcelowa.

Należy konsekwentnie dbać o to, aby wyżeł aportujący zawsze porządnie przysiadł, zanim mu się przedmiot aportowy odbierze na rozkaz „puść“ lub „daj“; połowiczne siadanie lub przedwczesne upuszczanie aportowanego przedmiotu zawsze robi ujemne wrażenie, jako znak niedość ściśle przeprowadzonej tresury.

Zaleca się zachować największy spokój i powagę wobec wyżła, nie wydawać zbytecznych rozkazów, ani nie wydawać ich głosem podniesionym. Lecz jeśli się już wydało rozkaz, wtenczas dbać z całą energją o to, aby ten rozkaz też był wykonany.

Na strzał wyżeł powinien być obojętny; na odgłos strzału ma pies albo przywarować, albo w tej samej pozycji wytrwać, w jakiej się znajdował, zanim strzał padł.

Ogólnym prawie błędem kandydatów było gorączkowanie się na odgłos strzału — objaw ten stanowczo zniknąć powinien w przyszłości.

Kołu Kinologicznemu w Strzelnie składam szczere powinszowanie za ujawniony rozmach w dążeniu do urzeczywistnienia idei wyżłów wszechstronnych.

Mimo, że niedawno Koło to się zawiązało, zdołało już bardzo wiele zdziałać.

Życzę mu całem sercem dalszego rozwoju i wyrażam nadzieję, że przykład, jaki strzelińskie Koło Kinol. daje, wpłynie twórczo na powstanie i rozwój innych podobnych zespołów o celach tak praktycznych i aktualnych i zarazem tak szlachetnych.

Meles Taxus.



W sprawie fabrykacji łusek firmy „Pocisk“ i krajowej amunicji myśliwskiej.

Przeczytawszy w Nr. 19 „Przegl. Myśliwsk. i Łowiectwa Polskiego“ ankietę w sprawie łusek firmy „Pocisk“, chcę wypowiedzieć słów parę o tych łusek zaletach i wadach, jakie spostrzegłem przy ich użyciu, jak również omówić i inną amunicję myśliwską w kraju wyrabianą. W czasach, gdy Liga Niezapominajki zyskuje coraz to większe zastępy przyjaciół i członków, jest chyba w zupełności niezbędnem, a zgoła aktualnem byśmy i my bracia z pod znaku Św. Huberta zasady tej Ligi względem naszych potrzeb myśliwskich zastosować chcieli, to jest nabywali amunicję myśliwską produkcji krajowej, gwoli zasadzie swój do swego po swoje. Co się tyczy broni myśliwskiej, to ją w dalszej chyba przyszłości polski myśliwy będzie mógł posiadać krajowej fabrykacji, a chociaż mamy w Polsce parę fabryk, wyrabiających broń myśliwską jak to „Arma“ we Lwowie i „S. Nakulski w Gnieźnie“ (ten ostatni od niedawna zaczął wyrabiać bronie poręczne celnie bijące, a także pistolety automatyczne „Smok“ kal. 6,35 m/m.). Fabryki te wyrabiają dotąd broni myśliwskiej bardzo nie dużo, jakkolwiek dobrej jakości; ceny jednak tej broni nie są niższe od cen broni wyrobu niemiec-

kiego i belgijskiego, pomimo cła, więc sądzę, iż długo jeszcze konkurencja w tej branży z przemysłem zagranicznym będzie ciężką, jeśli wogóle możliwą. Co zaś do amunicji myśliwskiej, to posiadamy już wyroby własne, a niektóre z nich nie ustępują zagranicznym nie tylko w jakości, lecz i w cenie. O tych właśnie wyrobach krajowych, zasługujących na uwagę i poparcie jaknajszerszych kół myśliwskich chcę wypowiedzieć słów parę i omówić ich zalety i wady. Więc rozpocznę od łusek, jako podstawowej części naboju śrótowego. Łuski, o ile mi wiadomo, w Polsce dotąd wyrabia jedynie fabryka „Pocisk.“ Dało mi się słyszeć niejednokrotnie, jeszcze w czasach przedwojennych i to ze źródeł jak najbardziej kompetentnych i fachowych, od inżynierów, pracujących na dużej fabryce (obecnie, zdaje się nie egzystującej) amunicji myśliwskiej „Rosyjsko-Belgijskiego Towarzystwa“ w Moskwie, iż fabrykacja łusek może należycie być postawioną i prawidłowo się rozwijać, jeśli fabrykat się rozejdzie w ilości przynajmniej 40 miljonów sztuk. Czy taką ilość produkuje rocznie fabryka „Pocisk“ należy powątpiewać, gdyż ilość ta, jak na nasze stosunki, prawdopodobnie by się nie rozeszła, biorąc jednak pod uwagę, iż fabryka „Pocisk“ wyrabia głównie amunicję wojskową, więc przy tem jako dział uboczny prowadzi wyrób amunicji myśliwskiej i winna ją bezwarunkowo prowadzić, by módz walczyć z przemysłem tej branży niemieckim, gdyż dotąd przeważnie używają, niestety, nasi myśliwi łusek wyrobu niemieckiego, a więc eo ipso sporo naszego grosza wędruje do Niemiec. Wyrabiane obecnie przez fabrykę „Pocisk“ łuski myśliwskie przedstawiają się zewnętrznie wcale solidnie i estetycznie — mają solidne okucie, tektura tych łusek jest w dobrym gatunku, czego dowodem jest to, iż na 100 szt. wystrzelonych łusek, jakie wypróbowałem, pękła tektura po pierwszym strzale tylko na 2-ch sztukach, co stanowi znikomy odsetek. Lecz nie wszystko zawsze jest złotem co się świeci: posiadają te łuski i znaczne wady, a mianowicie znaczny ich procent jest źle kalibrowany: to jest, iż zupełnie nowa, nie będąca w użyciu łuska z trudem wchodzi do kamery lufy strzelby, i to łuska nie naładowana; przynajmniej tak u mnie bywało, chociaż broń utrzymuję zawsze we wzorowym porządku i czystości, więc jakiejbądź w tym wypadku winy ze strony strzelby być nie mogło. Wada powyższa ma pierwszorzędne znaczenie, gdyż przy dłuższem używaniu łusek opornie wchodzących do lufy strzelby, ta, gdyby była nawet najlepszej roboty i gdyby była wykonana z najlepszego materjału z czasem rozluźni się w zamknięciu, to jest lufy przy baskili będą się ruszały — zjawisko dla posiadacza broni wcale nie pożądane. Wobec powyższego należałoby Dyrekcji fabryki „Pocisk“ zwrócić baczniejszą uwagę przy fabrykacji swych łusek na lepsze t. j. dokładniejsze ich kalibrowanie. Drugą nie mniej poważną wadą łusek „Pocisk“ jest wadliwe urządzenie kowadełka, na którem jest osadzony kapiszon. Kowadełko to w gilzach „Pocisk“, jak zresztą i w gilzach niemieckiego współczesnego wyrobu jest stałe a nie ruchome, jak to się obecnie praktykuje w łuskach angielskich Eleja, a dawniej, w czasach przedwojennych w łuskach rosyjskiego wyrobu fabryk Torbeka i Rosyjsko-Belgijskiego Towarzystwa w Moskwie, lub Sellie-Bellott w Rydze. Wszystkie te łuski posiadały kowadełka ruchome, to jest wyjmowane, w kształcie sztyfcika na którem osadzał się kapiszon i zmiana kapiszona przy przeładowywaniu łusek nie przedstawiała żadnych trudności, ponieważ wystrzelony kapiszon wybijał się z łatwością za pomocą zwykłego drewnianego wałka. W gilzach zaś „Pocisk“ przy stałem kowadełku zmiana kapiszona jest prawie niemożliwa — chcąc zmienić kapiszon trzeba go wydłubywać jakiem ostrem narzędziem, a manipulacja ta nie zawsze się udaje i jest wogóle nieprzyjemną, również często się zdarza że już po pierwszym strzale stałe kowadełko łusek „Pocisk“ łamie się od uderzenia iglicy broni. Wobec czego łuska zupełnie jeszcze dobra, z powodu złego i z cienkiej blachy sporządzonego kowadełka jest nie do użytku co ze względu na dość wysoką cenę łusek — 8 zł. za setkę (w składach broni w Wilnie, ceny warszawskie mi są nieznane) jest wcale niepożądanem zjawiskiem. Z powodów powyższych należałoby Dyrekcji fabryki „Pocisk“ przejść na fabrykację swych łusek z kowadełkiem ruchomem wyjmowanem na wzór angielskich łusek Eleja, lub dawnych Torbeko i t. p. Po usunięciu powyższych wad łusek „Pocisk“ byłyby one bez zarzutu, zwłaszcza że i obecna ich cena nie jest wyższą od łusek niemieckich, gdyż w składach broniowych n. p. w Wilnie i jedne i drugie łuski kosztują po 8 zł. za 100 szt. Jednak na 3 sklepy broniowe, egzystujące w Wilnie tylko jedna firma posiada na składzie łuski „Pocisk“, a pozostałe wyłącznie mają na składzie wyroby niemieckie, lub droższe angielskie, co jest zjawiskiem niepożądanem i winno być dla nas polskich myśliwych nie obojętnem. Teraz pomówię o innej amunicji myśliwskiej wyrabianej w kraju. Wyrabiany obecnie przez „Państwowe Zakłady Materjałów Wybuchowych“, myśliwski proch dymny, po należytem go wypróbowaniu do tarczy i do zwierzyny uważam za bardzo dobry: penetracja doskonała t. j. daje strzał ostry i pozostawia po strzale bardzo mało

osadu w lufach — słowem w niczem nie ustępuje mojem zdaniem, osławionemu niemieckiemu prochowi dymnemu „Rottweiler“ a cena tego polskiego prochu jest znacznie niższą od niemieckiego (w Wilnie sprzedają składy broniowe proch polski po 7 zł. 50 gr. za kilo, a niemiecki Rottweiler po 10 złotych kilo). Nie jest mi wiadomem czy „Państw. Zakłady Materjał. Wybuchow.“ wyrabiają również i bezdymny proch myśliwski (fabrykacja tego ostatniego jest znacznie trudniejsza i skomplikowana), a jeśli go w Polsce wyrabiają w tak dobrym gatunku jak proch dymny, to pod tym względem możemy śmiało się obejść bez zagranicznych wyrobów. Co do śrutu, to posiadamy go również, w bardzo dobrym gatunku, mojem zdaniem nie ustępuje on angielskiemu, jest dobrze hartowany i kalibrowany, a bezwzględnie tańszy od angielskiego— wyrabiają go dwie fabryki na Śląsku.

Czy są wyrabiane u nas w kraju kapiszony do łusek, jak również przybitki, nie wiem, ponieważ tych artykułów nie zdarzyło mi się dotąd widzieć w składach broniowych, a jeśli nie, to należy dążyć do ich wyrobu, by w najbliższej przyszłości polski myśliwy mógł cały sprzęt myśliwski posiadać krajowego wyrobu, jak to jest na Zachodzie, a jak zresztą było i w Rosji przedwojennej, gdzie cała amunicja myśliwska była wyrabiana w kraju i to w dobrym gatunku. Wówczas przestaniemy płacić haracze przeróżnym Rottweillom, Utendorferom, Walffom i t. p. polskie pieniądze pozostaną w kraju, robotnik zaś nasz znajdzie zajęcie, pochwałę rodzimego przemysłu, a naszego łowiectwa pożytek.

Tytus Naborowski.

W sprawie krajowej produkcji gilz papierowych.

Podniesienie produkcji krajowej — hasło niezmiernej doniosłości i dotknąć powinno wszystkich gałęzi przemysłu.

Mamy w Polsce setki tysięcy myśliwych. Zużywają oni rocznie miljony ładunkow papierowych sprowadzanych dotychczas wyłącznie z zagranicy, gdyż pierwsze, niezbyt fortunne kroki, jakie w rodzimej produkcji gilz do strzelb myśliwskich robi krajowa fabryka „Pocisk“, nie mogą jeszcze przeciwdziałać importowi gilz zagranicznych. Otóż w tej sprawie winni zabrać głos pp. myśliwi. Dotychczas panuje przekonanie, że gilzy „Pocisk“ są małej wartości, nieraz przy strzale zawodzą, pękają, a w broni automatycznej urywa się im metalowe denko. Są to bardzo poważne zarzuty i wytwórnia „Pocisk“, o ile ma zamiar i nadal produkować gilzy papierowe do użytku myśliwych winna na nie zwrócić baczną uwagę. Z drugiej strony pp. myśliwi powinni używać i tem samem poddawać próbom gilzy „Pocisk“, dzielić się rezultatem swych prób z szerokiem kołem myśliwych w czasopismach łowieckich, wywołać starcie zdań i polemikę, co wyjaśni wiele rzeczy ciemnych i musi dać pomyślne wyniki w sensie ulepszenia i rozpowszechnienia papierowych gilz krajowej produkcji.

Podczas ostatniego pobytu w Warszawie — obszedłem szereg składów broni myśliwskiej, żądając gilz fabryki „Pocisk“: znalazłem je jedynie u firmy J. Sosnowski. Naboje w gilzach „Pocisk“ dały w próbach wyniki zupełnie zadawalniające: nie zawodzą i nie pękają. Wszakże kartonowa rurka dosyć słabo się trzyma w metalowem gnieździe i przy strzałach temi gilzami z Browninga mogą się zdarzyć przykre niespodzianki. Sądzę też, że dla samej reklamy należałoby nadać gilzom „Pocisk“ nieco ozdobniejszy wygląd.

Jan Borowski.

Myśliwsko-wędkarskich wspomnień parę.

(*Dokończenie*).

Jadąc łódką po rzeczkach pławieńskich zwłaszcza mniej zarośniętych i o głębokiej czystej wodzie, rozpuszczałem stale z motowidła 50-metrowy pleciony sznur z łyżką na końcu, i, jeżeli pogoda była słoneczna, to 2 — 3 wiorsty jazdy dawały zawsze kilkanaście okoni i szczupaków do 12 nieraz funtów wagi. Często nie nadążało się rozpuścić sznura i znów trzeba było ciągnąć; pomimo tej długości sznura, już ciągnąc z łatwością można było rozpoznać po silnych lecz rzadszych uderzeniach szczupaka, a po częstem targaniu okonia, Tu przypomina mi się charakterystyczny wypadek, który miał jeden z moich towarzyszy i który dowodzi z jaką łapczywością rzuca się szczupak na

wszystko, co błyszczy. Przybywszy do Marjińskiego wieczorem, jechaliśmy nocą daleko w pławnie tak, by zdążyć na ranny przelot. Ja jechałem drugą łódką i drzemałem, gdy wtem budzą mnie głośne przekleństwa pana B., który jechał na pierwszej łódce o parę uderzeń wiosłem przedemną; okazuje się, iż, leżąc w łódce, wzniósł się trochę na łokciu, by zapalić papierosa, i w tej samej chwili coś zimnego skoczyło mu przez niską burtę kajaka z wody na rękę; po chwili zapaliwszy światło spostrzegliśmy 3-funtowego szczupaka, który wił się na sianie obok pana B.

Największą rybą, jaką widziałem złapaną na pławniach i wogóle na wędkę, był 5-cio pudowy sum przeszło 2-metrowej długości. Schwytano go na ciągniony za łódką sznur z kawałem tłustej i zjełczałej, a przytem podsmażonej baraniny na haku; sum jako ryba nocna w dzień spoczywa zazwyczaj na dnie głębokich odmętów; by zwrócić jego uwagę na wleczoną przynętę rybak, przejeżdżając nad głębokimi i cichymi miejscami chlapie silnie po wodzie „chłopuszą" to jest czemś w rodzaju drewnianej łyżki na długim trochę wykrzywionym trzonku. Przy tym łowieniu potrzebny jest b. długi sznur na kołowrocie przytwierdzonym do łódki i spory zapas żywności dla rybaka, wielka sztuka bowiem holuje czasami kilkanaście godzin małą łódeczkę wraz z człowiekiem zanim się z sił wybije, do brzegu przyciągnąć i zabić siekierą pozwoli.

Łapałem na pławniach na wędkę sporo sandaczy, a głównie na głębokiej i bystrej Skarbnej, pod sterczącymi gęsto w korycie pniami, „chołujami". Wędka była bez pływaka, zakończona dużym ciężarkiem koło 30 gramów wagi, haczyk na druciku z żywą rybką uczepiony był o 35 centymetrów wyżej; jedynie trzymając wędzisko w ręku wyczuwało się, że ryba ciągnie.

Najprzyjemniejsze jednak i najbardziej sportowe było łapanie jazi i kleni, pod stromemi porosłemi osoką brzegami, na wędkę bez pływaka i ciężarka z zielonym konikiem na przynętę. Łódkę puszczało się z prądem, o ile wędki starczało jaknajdalej od brzegu; rybak bez szelestu zarzuca pod sam brzeg konika, niby to on sam z nadbrzeżnej trawy na wodę skoczył; główna umiejętność polegała na podcięciu w porę. Czasami w godzinę mieliśmy obaj z Wasylem po 20 przeszło funtów jazi, pomiędzy któremi były dochodzące do 4 funtów.

Raz jeden tylko łapałem z Wasylem jazie siecią. Było to podczas ich tarła, w początku kwietnia, na zalanych zupełnie łąkach pławieńskich, ale w tym celu, by mieć co jeść. Miało to miejsce w 1918 roku, gdy z zajętego jeszcze przez bolszewików Charkowa przekradałem się przez tak zwany front do rodziny mej, po 1½ miesięcznej nieobecności w Krzywym Rogu, który już był podówczas obsadzony przez Austrjaków. Jechałem 400 wiorst około 6-iu dni; z początku koleją do Sinielhikowa i Aleksandrowska; stamtąd statkiem do Hirł; z Hirł łódką do Marjińskiego, gdzie z Wasylem, który jako pracowity i zamożny człowiek uznany był za „kułaka" i musiał się od uciekających bolszewików kryć, chowaliśmy się w pławieńskich oczeretach przez trzy dni. Trochę chleba i zupa z łapanych drygawicą jazi przez te trzy dni nas karmiły. Gdy trzeciego dnia pod wieczór usłyszeliśmy wybuchy, znamionujące, iż bolszewicka armja „towariszcza" Woroczyłowa w odwrocie stara się wysadzić most na Bazawłuku, a wkrótce potem jeden z naszych wywiadowców stary dziad rybak doniósł nam, iż wieczorem Austrjacy będą już na stacji Toku, wróciliśmy do wsi i tej nocy już spałem w chacie. Pociągi nie chodziły jeszcze i wobec tego, następnego dnia po rybnym targu wyruszyłem na podwodzie, wiozącej ryby uładowane z lodem do Jelizawetgradu (odległego o 140 wiorst), w dalszą drogę. Przenocowałem raz jeszcze na świeżem, a nawet bardzo świeżem, powietrzu na Bajdakowskim stepie i o 6-ej rano byłem w domu, przeszedłszy ostatnie 5 wiorst na piechotę z tobołkiem na plecach.

Po przyjeździe z Rosji przez Rumunję w 1920 roku pech mój i przypadek zrządziły, iż zmuszony byłem czasowo osiedlić się w naszem Zagłębiu węglowem, w kraju bardzo zaludnionym, pełnym dymiących kominów, świstu fabryk i lokomotyw, wielkich bogactw i nędzy ludzkiej i pozostałem tu dotychczas. Jadąc jeszcze na posadę pierwszym wysiłkiem pieniężnym skompletowałem mój myśliwski ekwipunek, którego oczywiście z Rosji wywieźć nie zdołałem. Doszedłem, potrochu kupując a zwłaszcza własną robotą, do doskonałych i różnorakich wędek. Jednakowoż przez pięć lat nie wystrzeliłem tu jeszcze nawet połowy tych ładunków, ile na pławniach na jednym rannym przelocie. Mało znam tu myśliwych i nie chcę ich krzywdzić, lecz mam wrażenie, że prawdziwy sportowiec jest tu nieomal taką rzadkością jak zając i kuropatwa, które się widuje przeważnie wiszące w sklepie.

Wojna oraz powojenne, obecnie już na szczęście w przeszłość odchodzące stosunki, wyniszczyły zwierzynę w szerokim promieniu, a łatwość zdobycia dynamitu oraz brak wszelkiego w tym względzie zainteresowania i opieki są powodem, iż w miejscowych wodach ryb prawie niema, pomimo tego naprzykład, że trudno wymarzyć ładniejsze miejsce dla pstrągów jak Przemsza Biała.

J. R.